

Zdzisław Domolewski

## Garnitury trumienne

1.

Był rok 2000. Szymon Cymber wysiadł ze swojego pancernego pojazdu. Słona woda Bałtyku ociekała z metalowych ścian wehikułu. Zatrzasnęły się stalowe drzwi i winda poniosła pojazd w dół, do podziemnego garażu. Przy falochronie stały trzy transatlantyki pokonujące Atlantyk w ciągu pięciu dni każdy. Jaśniały dziesiątkami pięter. Czwarty transatlantyk dobijał właśnie do przystani i cała Gdynia wyszła, by przywitać gości. Na szklanych ulicach, gładkich, czystych i podświetlonych od spodu, widziało się setki eleganckich samochodów, w których jechali zadowoleni ludzie z biało-czerwonymi chorągiewkami. Po tym jak sześćdziesiąt lat temu Ameryka i Anglia pomogły Polsce, wszyscy obywatele uważali za swój obowiązek witać zagranicznych przyjaciół. Z transatlantyków dobiegała muzyka jazzu. Szymon Cymber spojrzał w kierunku Gdańska, gdzie czaiły się ogromne pancerniki. Wydawało się, że nawet stąd widać ich wielkie swastyki. Ale od pewnego czasu nie on ich, ale oni jego powinni się bać. Metalowe gołębie Cymbra, identyczne z prawdziwymi, kręciły się nad Gdańskiem wszystko filmując. Wieczorem przylatywały do okna jego mieszkania przynosząc małe filmy, które mógł szybko wywołać na swojej aparaturze i obejrzeć w swoim małym, kolorowym kinie. Nikt lepiej od Szymona Cymbra nie wiedział, co dzieje się na faszystowskich okrętach. Nic przed nim nie mogło się ukryć. Gdyby przywieziono najnowocześniejsze pociski, dowiedziałby się o tym i szybko zawiadomił Ministerstwo. Wszedł do swojego eleganckiego mieszkania. Na ostatnim piętrze miał obserwatorium astronomiczne z teleskopem, przez który mógł kontrolować tunel transmisyjny aż do samego Księżyca. Tej nocy Księżyc znajdował się wyjątkowo blisko. Cymber usiadł w elektrycznym fotelu dopasowującym kształt do wygody właściciela, przyłożył wzrok do okularu i popatrzył. Pod wieczór tunel transmisyjny wyglądał bardzo ciekawie. Od dołu podświetlało go światło z wielkich miast. Tam gdzie się zaczynał, w Warszawie, przy samej ziemi było widać pierwszych trzydzieści kilometrów tunelu. Wyżej, przysłaniany gęstą atmosferą, zanikał, by w dali, w teleskopie pokazać się znowu. Szymon Cymber obserwował najbliższą stację, która znajdowała się trzysta kilometrów od planety. Tam podróżni zatrzymywali się, by odpocząć. Stamtąd też mieli wspaniałą widok na Ziemię. Łądy były zielone lub brunatne albo, tam gdzie pustynia, żółte, a woda oceanów i mórz - seledynowa. Kolory ziemi zapierały dech patrzącym. Na przykład Antarktyda i Arktyka

były zupełnie białe, a Polska złota, ponieważ był lipiec i dojrzewało zboże. Podróżnicy patrzyli z okien hotelu, jedli kolację i obserwowali swoje kraje. Było widać Amerykę i Europę, było widać mniejszą od naparstka wieżę Eiffla, ogromne wieżowce Nowego Jorku, Himalaje, piramidy w Egipcie, różne rzeki, nisko widziało się samoloty, które latały nad lądem. Na oceanach widać było jakieś kropki, to były wielkie okręty i statki. Mniejszych widać nie było. Wydawało się, że w Ameryce pulsują jakieś żyły. To były autostrady pełne samochodów. Przede wszystkim jednak nasi podróżni patrzyli na Warszawę, skąd wystartowali do swojej wycieczki na Księżyc. Ten, kto miał pieniądze, mógł wynająć teleskop i popatrzeć w dół, żeby zobaczyć swoich krewnych, którzy odprowadzili go do Warszawy, do początkowej stacji tunelu kosmicznego łączącego Ziemię i Księżyc. Za drzwiami, w sklepie odezwał się dzwonek, zadrżał tak cicho, jakby wpuścił kogoś, kto się skrada. Szymek przerwał pisanie. Efraim i Dawid łypnęli oczami znad maszyn do szycia. W takich chwilach ojciec kurczył się, a ściany rosły. Popatrzył na swoich pracowników spojrzeniem człowieka widzącego wszystko po raz ostatni, strząsnął z palców nożyce, sukno opadło na stół i znieruchomiało niczym skrzydło. Przeszedł do firmowego salonu, gdzie pod palmą stały dwa krzesła, a na ladzie leżał stos wyświechtanych zurnali. Szymek przebiegł wzrokiem po ostatnim zdaniu i pisał dalej:

W roku 2000 podróże na Księżyc znacznie potaniały, można było dostać się najniższą, trzecią klasą, ale całkiem wygodnie, za trzysta dwadzieścia osiem złotych. Oczywiście, jeżeli ktoś liczył na wygodę, codzienną kąpiel, kino albo spacer w kombinezonie po zewnętrznych tarasach, musiał liczyć się z ceną wyższą - nawet do dziesięciu tysięcy złotych. Szymek popatrzył na próg, gdzie ze sklepu wysunął się długi cień klienta. Na widok kogoś dobrze znajomego ojciec reagował zmianą głosu: mówił szybciej, upodabniając go do głosu wuja Jakuba:

- Ach, to pan szanowny. A dzień, dwa dni temu śniłem nie jakoś metaforycznie, ale konkretnie - góry. Chociaż nigdy ich nie widziałem, a jednak przyśniłem. Pan z Zakopanego, dobrze pamiętam? Jak w sam raz pan się pojawił, chociaż o dwa lata za późno, a moda na nikogo nie czeka. - Ojciec kręcił się, migał w drzwiach, a klient-cień wydłużył się i sięgał aż do sukna na stole.

Niektórzy mogli sobie pozwolić na pobyt w specjalnych, jednoosobowych kinach, skąd rozmawiali ze swoich przenośnych telefonów z ludźmi pozostawionymi na Ziemi, a na ekranie ich widzieli. Tak więc, po wynalezieniu przenoszonych, podobnych do zegarków, telefonów, gdzie promienie świetlne zastąpiły druty, wynaleziono już i takie urządzenia. Szymon Cymber jako pierwszy wiedział, że niedługo zostanie wynaleziona substancja zmieniająca ludzkie

ciało na metal, który można będzie sproszkować i za pomocą stacji magnetycznych przesyłać w dowolne miejsce, bez kolei czy samolotów. Sproszkowany, metaliczny człowiek, dotarłszy do wybranej stacji, zostanie tam błyskawicznie odtworzony, tak jak wyglądał wcześniej. A nawet jeszcze lepiej, bo z rozproszkowanego ciała specjalne magnesy straży medycznej wychwycają drobiny zatrute chorobą, żeby na ich miejsce dosypać drobiny zdrowe.

Szymon Cymber, pierwszy człowiek, który obmyślił kosmiczny tunel, siedział i patrzył na beztrojskich ludzi na pierwszej stacji, podnieconych obserwacją z wysokości swojej ojczystej planety. Biedne, niemieckie dzieci, myślał wynalazca żałując, że od wielu lat Niemcy, za swoją politykę, mają zakazane korzystanie z tunelu. Najbardziej uszkodzone były właśnie niemieckie dzieci, które nie mogły udać się na kosmiczną wycieczkę, podczas gdy dzieci z innych krajów, nawet mali Murzyni, już tam byli. Ale - niestety - Niemcami wciąż rządzą faszyci i Hitler. Wielkie ilości pieniędzy pochłaniało utrzymanie w zdrowiu i przy życiu tych tyranów. Na inne wydatki nie starczało pieniędzy, tylko na okręty, samoloty i na, oczywiście, ratowanie przed śmiercią Hitlera. Skonstruowano całą aparaturę, wielu naukowców niemieckich pracowało nad tym, żeby coś wymyślić, ale brakowało im jednego: księżycowego metalu, jaki można było dobywać tylko na Księżycu. Reszta świata potrafiła już zapewniać sobie długowieczność, dzięki odkryciu tego pierwiastka. Niemcy nie mieli do niego dostępu. Szymon Cymber był nie tylko wynalazcą, ale - jako człowiek, który umiał przewidzieć najwięcej - sam postanowił, że dopilnuje, by Niemcy nie dostali ni grama pierwiastka. Dwa kilogramy zapewniłyby Hitlerowi nieśmiertelność. A te dwa kilogramy przedłużały o dziesięć lat życie stu tysięcy ludzi. Cymber w dzień i w nocy kontrolował bezpieczeństwo księżycowej kopalni i tunelu, którym pierwiastek transportowano na Ziemię. Strzegł też drogi, którą przewożono go do Warszawy, do tajnego instytutu, gdzie przygotowywano miksturę. Niemcy w każdej chwili mogli przechwycić transport dla Hitlera, a wtedy zagrożenie dla świata nigdy by się nie skończyło.

Do pancernego okna Szymona Cymbra zastukał, specjalnym kodem, jego stalowy gołąb. Cymber otworzył i wpuścił ptaka. W skrytce był najnowszy film. Agent włożył go do automatycznego wywoływacza i włączył przycisk, a gołąb zaniósł do magnetycznej klatki, gdzie odpoczywało osiem innych, wysłużonych gołębi. Magnetyzm je oczyszczał i sprawdzał zużyte części, a kapiące na nie jak przysznic krople były ze specjalnego oleju smarującego metalowe piórka. Dwieście pozostałych gołębi pełniło noc i dzień swoją służbę nad Niemcami. Gdyby Cymber włączył czerwony

przycisk na swoim zegarku, wszystkie, zamienione w proszek, w siedem minut znalazłyby się u niego, tworząc małą, ale potężną armię powietrzną, z którą nie poradziłyby sobie najpotężniejsze samoloty bojowe. Cymber mógł swoje gołębie dowolnie powiększać. Wystarczyło, że rozproszkował jednego, potem dodał odpowiednią ilość proszku do tamtego i uzyskiwał identycznego gołębia, tylko dużo, dowolnie większego. Nikt o tym nie wiedział, to była jedna - ale nie ostatnia - tajemnica, którą zachował dla siebie. Gołębie Cymbra były jego najgroźniejszą bronią. W takim powiększonym, w skrytce, gdzie zwykle mieściła się kamera i film, mógł schować wielkie zapasy pocisków. Stalowy gołąb startował pionowo z miejsca, lądował, gdzie chciał, odskakiwał w bok, w jednej chwili zawracał. Samoloty nie miałyby najmniejszych szans. Latałyby jak ważki, a on mógłby je dowolnie dziobać.

- Garnitur czeka na pana, oczywiście, że czeka, gdzie miałyby być? Minęły ze dwa lata, a on ciągle czeka - zapewniał ojciec piskliwym głosem za drzwiami. Wszedł do pracowni, rozejrzał się, spojrzał na manekiny, zapytał tak, by klient nie słyszał:

- Czy ktoś wie, co się stało z garniturem, który wisiał tu? - Poklepał manekin, na którym tkwił pokłuty szpilkami płaszcz dla pana Zelwerowicza.

Maszyny do szycia przestały terkotać, Szymek kolejny raz odsunął ołówek od zeszytu.

- Nie winię nikogo, do nikogo za grosz pretensji, ale może ktokolwiek coś... Szymek - ojciec odwrócił się i stanął przed stolikiem, na którym pisał syn - może ty wiesz, dokąd poszła mama? I kogo pytam? Ostatniego człowieka, który może interesować się takimi rzeczami! Siedzi, smaruje zeszyty, ołówki ściera... Czy ktokolwiek tutaj cokolwiek wie?

Odpowiedzi nie było. Ojciec pokręcił się bezradnie i wrócił do saloniku. Zaszeleściły kartki terminarza, ołówek nerwowo stuknął o ladę.

- O, i znalazłem! Jest! Dwudziesty piąty czerwca, trzydziestego siódmego, pan Stanisław Ignacy Witkiewicz. Przyjęto akonto... oczywiście! Wszystko udokumentowane jak należy - mówił ojciec, a gość nie odzywał się słowem. - Jak pan łaskawie pamiętał, prawie dwa lata od drugiej miary. Zdawało się, że już pan nie odbierze, a tu dzisiaj... No tak, czy ktoś dzisiaj może wiedzieć, co będzie choćby jutro? Wszystko staje się możliwe. A mnie spotkał wielki zaszczyt, panie Witkiewicz: przez dwa lata, od czasu do czasu wspominał mnie pan, wielki artysta. Domyślałam się, nie zawsze myślą najzyczliwszą, ale co tam! Myśli wielkiego człowieka dotyczyły skromnego krawca.

- Tkwił pan w nich jak oś.

- Chwała Bogu, że nie jak wyrzut sumienia. Proszę sięść. Odprasujemy, przymierzmy, chociaż niedobrze, niedobrze, na oko widzę, że pan jakby schudł. To źle: chudnąć, gdy czasy niepewne. Szymek nie mógł dokończyć zdania; ojciec wszedł, przymknął drzwi, kręcił się, mówiąc nerwowo lecz cicho, żeby

klient nie słyszał:

- Pan Witkiewicz to malarz czy pisarz, wielki, znany człowiek. Ale jeżeli ktoś, nawet największy geniusz, przychodzi dwa lata po terminie do najlepszego krawca na ulicy Chłodnej, może się spodziewać, że w jego garniturze spaceruje już

Moryc Naubam, co z genialnością nie ma nic wspólnego, ale posiada trzy sklepy i do tego rozmiary takie jak pan

Witkiewicz. Nie artystyczna logika rządzi światem. Przestań gryzmolić, ty lepiej pomyśl, co stało się z tym garniturem,

który wisiał na tym tu manekinie? Pisz! Pisarstwo! Niejeden tu taki... literat! - dokończył patrząc na syna i popychając drzwi do saloniku.

- Przepraszam, panie Witkiewicz, za tę nieostrożną wypowiedź na tematy literackie. W najmniejszym stopniu, mówiąc, nie miałem na myśli literatów takich jak pan czy inni wielcy. Chodzi o Szymona, mojego syna. Czternaście lat, a nic

tylko ołówkiem fantazje skrobie. Wody do czajnika z kranu nie naleje, a porywa się na opisywanie czegoś, co może

nigdy nie nastąpi. Cóż kogo obchodzi, co będzie za sto czy pięćdziesiąt lat? Nawet i przepowiadając prawdę, nie

ugryzie jej ani dotknie. Fantazje, dyrdymały, latające żelaza... - plótł ojciec, a klient milczał. - Czy jeżeli ktoś dwieście

lat temu wymyślił, że pan Witkiewicz zamówi u krawca Cymbera garnitur i zechce łaskawie dwa lata po terminie

przyjść odebrać, czy ten ktoś miał coś z tego? A przecież przewidział prawdę: rzeczywiście, dwieście lat po jego

odkryciu pan przychodzi do mnie, termin odbioru minął, garnitur miałby nawet prawo rozplynać się w powietrzu -

mówił ojciec kręcąc się między szklaną witryną swojego salonu a drzwiami pracowni. - Może tamten wynalazca sprzed

lat dwustu i elektryczne tramwaje przewidział, telefony, samego Adolfa Hitlera, ale czy rozsądni ludzie w tamtych

czasach nie mieli prawa powiedzieć o nim "idiota"? Może każdy, którego posądzamy o brak piątej klepki, to dusza

przeniesiona z innego, przyszłościowego czasu, która, plotąc to, czego dzisiaj nikt nie rozumie, za ileś lat byłaby duszą

największego mędrca? Jeżeli nawet tak, i co z tego? Każda rzecz potrzebuje czasu, a że jedna znajdzie się przez

duchowy przypadek nie w swoim, kogo za to winić? Czas zmienia, przenosi ludzi i przedmioty: były tu, a kończą na

innym grzbiecie.

Słowa ojca nie potrafiły oddalić się od gnębiącego go problemu. Po raz kolejny wszedł do pracowni, przymknął drzwi,

rozpaczliwie popatrzył na manekiny, zajrzał do szafy, wyrzwał za okienko na podwórko.

- Szymek, ty wiesz, gdzie mieszka ciotka Rosenowa? Nie rób takiej miny! Wiesz? Nie wiesz. Twój ojciec też nie ma

pojęcia, a mama prawdopodobnie musiała wybrać na dzisiaj akurat taki adres! Czy ktoś w tym pokoju wie, gdzie

mieszka Elza Rosen? - zapytał retorycznie, wkuł kilka szpilek w płaszcz na manekinie i zapytał jeszcze ciszej: - Czy

ten garnitur, który moja żona, pod moją nieobecność, sprzedała panu Naubamowi, miał popielate paski? - Maszyny do szycia zamarły po raz kolejny.

- Tak, panie Cymber - powiedział Efraim, a Dawid potrząsnął grzywą.

- Najczarniejsze wyjaśnienie, bez cienia nadziei. Sprzedała Naubamowi, ale i co się dziwić? W innej sytuacji mąż

powinien pochwalić żonę za taką transakcję, ale dlaczego teraz to nie jest ta inna sytuacja? - Ojciec zatrzymał się przy

stoliku Szymka. - Po Księżycu brykasz, a nie potrafiłeś przewidzieć dzisiejszej wizyty! Wrócił do klienta.

Film przyniesiony przez gołębia wywołał się i agent Cymber usiadł w swoim pancernym kinie, żeby obejrzyć

dokumentację. Na szklanym ekranie wszystko było wyświetlane z drugiej strony. Kolory były takie wyraźne i gładkie,

jakby od dokumentów dzieliło oczy Cymbra tylko powietrze. A wszystko słyszał tak dokładnie, najmniejszy głosik,

kiedy tylko chciał, mógł usłyszeć, każdy warkot silnika, słyszał nawet miauczenie kota.

Zresztą, Cymber mógł tak

zrobić, żeby szklany ekran otoczył go zupełnie, ponieważ kamery wyświetlały film od tyłu, więc to było możliwe.

Zastanowił się więc i włączył cylindryczny ekran. Teraz był otoczony sfilmowanymi obrazami i poczuł się jak stalowy

gołąb, który lata nad Gdańskiem.

Gdańsk był wielkim miastem, ale widziało się wyraźnie, że polityka Hitlera doprowadziła ludność do biedy. Jeździły

wielkie samochody, latały samoloty z czarnymi krzyżami, wybudowano potężne gmachy i bunkry wokół miasta, ale

ludzie ubrani byli nędznie. Odkąd wypędzono obywateli polskich, żaden zagraniczny towar nie docierał do Gdańska i

do innych niemieckich ziem. Niemcy podglądali trochę, co dzieje się na świecie, w państwach cywilizowanych, ale nie

potrafili sami wyprodukować takich nowoczesnych rzeczy. Poniekąd dlatego, że nie mieli dostępu do księżycowych

surowców. Ich urządzenia więc nadal dymią, spaliny samochodów były czarne, a samochody ciężkie. Okuto je stalą,

ponieważ jeździli nimi dygnitarze i bali się, że ludność może dokonać zamachu. Wszystko w Gdańsku było

opancerzone. Nawet okna zamykano na stalowe klapy, a nad osiedlami, gdzie mieszkali dygnitarze, były pancerne

dachy, żeby wszystko ukryć.

Szparą w drzwiach docierały głosy z salonu.

- No i proszę, słów brakuje, ale czy ja jestem w stanie wszystkiego upilnować? Wyjechałem na trzy dni do Janowa... -

próbował wyjaśniać ojciec.

Gość wstał, przesunął się tak, że zapach papierosa wpadł do pracowni; nozdrza Dawida skwapliwie go wychwyciły.

- Zewnętrzność przybiera kształt demoniczny - powiedział klient. - Nad światem władzę przejmują stwory, jakich nie

wymyśliłby sam Bosch.

Ojciec chętnie przeskoczył na uboczny temat.

- Tak, tak, teraz wszyscy narzekają, stukają czołem o ścianę, topią zdziwienie w wódce; wie pan, jak ludzie piją? Skąd nagle ten alkoholizm? Bezradność i poczucie winy. Ja nie wiem, jak to jest w świecie artystycznym, wśród literatów, malarzy, muzyków...

- Chleją, piją, rzygają. Srają ustami, dupą patrząc w gwiazdy.

- No więc widzi pan, tam także. Ale i oni mają powód, nie ci tutaj prości ludzie z Chłodnej czy Żelaznej, ale właśnie literaci, artyści, nie wymieniając z nazwiska, w dużym stopniu ponoszą odpowiedzialność. Ja i pojąć nie mogę, czemu nikt z wielkich artystów nie przewidział, że austriacki malarz przeistoczy się w germańskiego mesjasza? Przepraszam, że przy panu wspominam o jego wyjściowej profesji, lecz cóż poradzę? Nikt lepiej od artystów nie powinien przewidzieć, co w innym artyście się lęgnie. Ja, krawiec, wymienię dwa słowa z drugim krawcem i już wiem, czy to fachowiec z prawdziwego zdarzenia, czy fuszer, czy w swojej istocie, nie krawiec, ale zakamuflowany morderca. Ja mam prawo nie wiedzieć, że któryś tam artysta malarz to żaden artysta ani malarz, tylko ukryty tyran; ale, przepraszam, panowie artyści nie domyślili się tego?

- Z całą powagą przyznaję panu rację. Na swoje usprawiedliwienie powiedzieć mogę, że Hitler aspirował do kariery, którą pogardzam. Stawał ze swoją wypociną przed gremium syndykatu wyrobów ręcznego paskudztwa, sterującym mieszczańskim, ale i pozornie awangardowym gustem wyłącznie po to, by salonki groszorbów wypełniały się bibelotami o treści i formie nienaruszającej ich samozadowolenia. Hitler próbował zostać takim Chwistkiem, tylko wywróconym podszewką na właściwą stronę. To europejski czorcik, fazowy wytwór kultury mieszczańskiej; raz na jakiś czas wywalić ona z siebie musi tego rodzaju ekskrement, będący zarazem jej kwintesencją. Ten fizjologiczny rytuał pomaga się jej usprawiedliwić, wedle jej kryteriów oczyścić, równocześnie dając kanibalistyczny pokarm, niezbędny dla jej dalszego trwania. Hitler to banalność, epigonizm i kalkomania. Czort prawdziwie demoniczny przeżył się po wschodniej stronie, w bloku, w smrodzie, na bagnie wszelkich wartości.

- Niewiele rozumiem, ale po co nam tak myśleć, panie Witkiewicz? To pogoda, jakieś zawirowania atmosferyczne cisną ludzi melancholią. Mnie też połowa rodziny namawia: przyjeźdź do Ameryki, sprzedaj co się da i przyjeźdź. Może i tak, może to i rozwiązanie? Ale kres człowieka ten sam tu czy w Ameryce. Przed nim nie uciekniesz i jaka to różnica? Owszem, pieniądze, panie Witkiewicz, co tu mówić, pan sam wiesz, ale w samej esencji człowiek rodzi się, przepuszcza między palcami ileś lat i umiera. Jaka różnica? A jeżeli już: Polska ma wojsko, generałów, samoloty. Nie dawniej jak wczoraj osiem samolotów naliczyliśmy. Szymek, osiem było?

Chłopiec wsunął ołówek do kieszeni, zamknął zeszyt i wolno podszedł do drzwi. Błyszczące, ale zmęczone oczy

klienta, spojrzawszy ku niemu, znikły za dymem z papierosa okrywającym resztę twarzy.

- Drewniane - stwierdził Szymek.

- Ostatecznie drewno bliższe piórom niż metal - obruszył się ojciec. - Rzeczywistość to nie twoje papierowe

dyrdymały. Takiego mam pod dachem filozofa, wynalazcę, widzi pan, na cóż krawcowi taki czternastoletni syn? Sił nie

mam zwalczać tę pisarską plagę... Najmocniej pana przepraszam, że cały czas, nie chcąc, naruszam dumę pańskich profesji...

Usta klienta dmuchnęły rozwiewając dym.

- Gówno tam nie profesje - powiedział.

- Jak tak można mówić? Mickiewicz, Norwid, kto tam jeszcze? Prus, Matejko... Że też akurat u mnie naszła pana chęć

urągania sztuce. I to przy Szymku. A może i dobrze, wychowawczo; słyszysz, jak sam pan Witkiewicz nazwał takie

pisanie: gówno! Namawiają, listy piszą: przyjedź, na co siedzisz w tej Warszawie. Nowy Jork, świat, domy

półkilometrowej wysokości, drapacze chmur, jak mówią, pieniądze, banki - przyszłość. Ale mój syn, panie Witkiewicz,

wymyślił, że to Warszawa będzie kiedyś metropolią światową. Do niej przybywać będą pociągi kolei astronomicznej,

co połączy Księżyc z Ziemią - wyjaśnił ojciec.

- Chylę głowę przed potęgą wizji - rzekł klient dusząc papierosa w popielniczce. - Czy chodzi o konstrukcję zbliżoną

do tej, jaka kursuje na Kasprowy Wierch?

Szymek stał w drzwiach pracowni, w ledwie widoczny świetle nasyconym dymem.

- Nie, tunel powietrzny o średnicy dwudziestu metrów - odrzekł chłopiec.

- O! - zdziwił się klient. - O ile wiem, odległość Księżyca względem Ziemi jest zmienna...

- Będzie giętki.

- Próbowalesz podnieść do góry rękaw swetra?

- Kiedy przymarznie na sznurze, tak - powiedział chłopiec, a klient znieruchomiał.

- Dobrze, ale Księżyc raz jest po tej, raz po drugiej stronie Ziemi. Jak kulka w ruletce.

- Jest odwrócony do Ziemi zawsze tą samą stroną. Co trzysta kilometrów byłyby przeguby, jak w kościach. Tam będą

stacje, hotele i mijać się będą składy.

Zrobiło się cicho, gość zwiesił rękę nad popielniczką, by zagasić nadpalonego papierosa, ale widać zmieniwszy zamiar

cofnął dłoń i wsunął papierosa z powrotem do ust, by cmoknąć kilka dymków.

- To jednak jest cholerna odległość - powiedział.

- Czterysta do trzystu osiemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów.

- No i widzi pan, co z nim mamy? Ubzdurał sobie, że początkową i końcową stacją będzie Warszawa, nawet już wie

gdzie, w jaki sposób przytwierdzi ten rękaw do ziemi: wie wszystko, spisuje, wymyśla. Nie daj Boże! Mój brat Jakub

wskazuje, że mogłoby to mieć coś wspólnego z wędrówką Mojżesza, i może Księżyc jest przeznaczony nam jako nowa

Jerozolima. Ale to wszystko szmonces, panie Witkiewicz, tu już pół gminy puka się w czoło, a on ma czternaście lat!



Pan wie co to dla Żyda mieć czternaście lat? - ponarzekał ojciec, po czym skierował pytanie do syna: - I skąd ty tam weźmiesz powietrze?

- Domyślam się, że byłoby tłoczone z Ziemi - odpowiedział klient.

- Jeżeli żydowska myśl miałaby doprowadzić do tego, że powietrze z Ziemi przepompuje się na Księżyc, to co się dziwić antysemitom?

- W roku dwutysięcznym to i tak będzie - powiedział chłopiec.

- W roku dwutysięcznym, mówisz? - Klient wstał, doszedł do okna, za którym trwał popołudniowy ruch. Tramwaj

zaklekotał po szynach i zatrzymał się na przystanku, przebiegła gromadka dzieci, trzy puste dorożki, jedna za drugą,

przejechały w przeciwną stronę. - Mówimy więc o roku dwutysięcznym. - Klient odwrócił się i wyjął drugiego

papierosa. - Ile ty wtedy będziesz miał lat? - zapytał.

- Siedemdziesiąt pięć.

- Będziesz więc starcem.

- Na koniec wieku nie będzie ludzi starych ani chorób, nic. Każdy będzie mógł być, jaki chce.

- A płuca, serce, nerki, żołądki, oczy, mózgi?

- Kto zechce, dobierze część sztuczną. I skóra pomarszczona do wymiany się nada, zęby, włosy, każdy kawałek.

Klient usiadł, wsunął dłoń z papierosem między kolana i obserwował przeciskający się dym.

- I po co?

- Żeby żyć dłużej i lepiej. Żeby wszystko się stało, żeby nikt nie powiedział, że coś zmarnował, bo za krótko żył.

- No, a samo życie? Gdzie wtedy ono, kiedy wszystko sztuczne; i ono też byłoby jakieś sztuczne?

- Sztuczne życie też by było. Ludzie z żelaza i ze sztucznych części, ale jak żywi. Oni mogliby żyć na Księżycu, bez

tłenu. Pracowaliby w tunelu, w obsłudze i dobywali surowce z Księżyca: złoto, platynę, diamenty, inne takie, których

nie znamy na Ziemi.

- I co byłoby z tego? Przecież złoto jest tylko wygrzebywanym z ziemi pierwiastkiem.

Obiektywnie nie ma żadnej

wartości, nie jest nawet ładne, lśni, kiedy się je wygładzi, i to cała zaleta.

- Dzisiaj tak, ale kiedyś ze złota produkować się będzie różne myślące przedmioty. Bez złota nie uda się nic. Wszyscy

wiedzą od tysięcy lat, że złoto ma jakieś właściwości; nie tylko dlatego, że błyszczący, ludzie go szukali. Księżyc, jak i

złoto, czekał tysiące lat, żeby ludzkość zmartwychwstała na tyle, by do niego się dostać i pozbiierać pierwiastki, które dalej

pomogą ludzkości we wszystkim. W roku dwa tysiące ludzie będą tak mądrzy, że o wiele lepiej wszystko zrozumieją.

- Sam pan słyszy, panie Witkiewicz; i co poradzić z takim wynalazcą? - wtrącił się do rozmowy ojciec. - Ludzie, jego

zdaniem, mieć będą przenośne telefony, każdy swój, bez drutów, gdziekolwiek pójdzie, zadzwoni, do kogo chce.

Tłumacząc: i co to za wygoda, każdy z aparatem w ręku jak garb tylko po to, bo zechciało się porozmawiać.

- Te ze złota będą małe, jak ręka. Będzie można też w nich ludzi widzieć. Kto zechce, zajrzy do środka i zobaczy, z kim rozmawia - powiedział Szymek rozwierając palce dłoni, na którą wszyscy trzej dłużej popatrzeli.

- I ciekawe, mądralo, jak tam ich pomieścisz? Ja już rozumiem: maszyna do pisania, na każdym druciku jedna litera, inne znaki - dobrze. Niech i będzie, że w takim twoim telefonie ze złota każdy sobie zażyczy umieścić malutkie rzeźby, główki, czy nawet popiersia swoich bliskich, znajomych; niech i tak będzie: wydzwaniam do brata, rozmawiam z nim, a jego podobizna wychyla się jak czcionka w maszynie: rozmawiam i patrzę na takiego miniaturowego Jakuba, żeby przypomnieć jak wygląda. To być może, ale kiedy zadzwoni do ciebie obcy, skąd nagle znajdziesz podobiznę? W urzędzeniu wielkości dłoni tysiące ludzi? Wyjaśnij panu Witkiewiczowi, może choć on to pojmie? Z drugiej strony, gdyby teraz twoja matka choćby na plecach miała taki telefon... - zakończył ojciec, machnął ręką, zdjął z szyi centymetr i objął talię klienta. Ten podniósł ręce, obrócił się ułatwiając mierzenie. - Ajajaj! I jak przypuszczałem, prawdziwy klops! Te dwa lata zmieniły panu sylwetkę. Zeszczupłał pan, przez to ręce się wydłużyły; żadnego sensu przymierzać. Na oko już widać, sto procent, garnitur nie będzie pasować. Trzeba przerobić, nie ma wyjścia.

- Obawiam się, że muszę wziąć, jaki jest. Wracam do Zakopanego dzisiaj, nocnym pociągiem. Czasy są takie, że to może być ostatni mój pobyt w Warszawie i ostatni garnitur, jak to mówią, do trumny. Proszę tak nie patrzeć, panie CyMBER, zwykła kolej rzeczy. W tym konkretnym przypadku mamy do czynienia, potencjalnie, z garniturem trumiennym. Przypuszczam, że w pańskiej ofercie nie ma takiego modelu. Przyznaję, że sam, w katalogu swojej firmy, portret trumienny także przeoczyłem. Wezmę bez przeróbki. Odzianie mnie do trumny w ten garnitur będzie niczym innym jak próbą przyobleczenia w formę, którą zajmowałem w lepszym dla siebie okresie. Jak fizyczne dopasowanie modelu do formy jego portretowego ideału.

- Co by pan nie mówił, uczciwy krawiec nie może pójść na takie rozwiązanie. Nie ma innego sposobu: trzeba jak najszybciej brać się za przeróbkę - mówił ojciec wciąż zdejmując miarę. - Do godziny siódmej zakończę, syn dostarczy garnitur gdziekolwiek panu wygodnie, choćby na sam Dworzec Główny. Pan jesteś człowiekiem społecznym. Co będzie, jeżeli postawią pana w otwartej trumnie, na katafalku, w otoczeniu kolumn, ale w garniturze kilka numerów za dużym? Czy ludzie nie zapytają, który krawiec skroił wielkiemu człowiekowi taką tandetę?

- Doceniam pański estetyzm. Rozumiem, że pan uważa, iż w trumnie człowiek powinien wyglądać jak doskonale zrealizowany, dopracowany posąg.

- Nawet lepiej.

- Niebo-szczyk, w pewnym sensie ta definicja etymologicznie odrzuca bylejakość. Perfekcjonizm pęta nas nawet lingwistycznie. Ustupując mu rozumem, że zmuszony będę pojawić się chociaż na jedną miarę?

- To może nie być konieczne.

- Panie Cymber, a jeżeli w Zakopanem coś się okaże nie tak? Czy mogę znaleźć się w trumnie w czymś między ideałem a fuszerką? - łypał oczami klient.

- Masz pan rację, panie Witkiewicz.

- Wobec tego zadzwonię, by dowiedzieć się, o której przyjść.

- To bardzo dobrze, panie Witkiewicz, doskonale, ale gdyby coś się, nie daj Boże, skomplikowało, to dokąd garnitur dostarczyć?

- Umówiony jestem w kawiarni Ziemiańskiej - powiedział klient, spojrzawszy na zegarek i wyszedł.

Szymek wrócił do swojego stolika. Efraim i Dawid wyprostowali się nad maszynami i obserwowali pana Cymbra zapisującego kredą na kotarze wymiary klienta.

- I cała opinia firmy wisi na sześciu godzinach czasu. W sześć godzin dokonać musimy rzeczy niewykonalnej: uszyć człowiekowi identyczny garnitur. Choćby koniec świata, nikt stąd nie wyjdzie przed ukończeniem pracy - powiedział.

Dawid podniósł się na swoim krzeselku, ale ojciec uprzedził go w jednej chwili:

- Mnie nic nie obchodzi niczyje sprawy, życiowe czy polityczne, nikt, kto chce mieć jutro pracę, nie wyjdzie dzisiaj przed siódmą. Tylko gdzie w pół godziny znaleźć materiał identyczny, w jakim chodzi Moryc Naubam? Zwłaszcza że nikt nie pamięta jaki. Problem zasadniczy, że pan Witkiewicz to artysta: raz popatrzy i już zapamięta na całe życie. Pamięć wzrokowa. Do trumny, mówi i faktycznie wygląda marnie, szary, pesymizm w słowach, depresja. Postarzał, oczy błyszczą chorym światłem, ręce niespokojne, pali papierosa za papierosem... Cóż nam do tego? Jakiegokolwiek po sobie nazwisko zostawi, nie może być, żeby polski artysta pochowany był w fuszerskiej robocie żydowskiego krawca.

Pomyśli ktoś, że krawcowi przyszło do głowy swoją pracą wystawiać pośmiertną opinię o sztuce pana Witkiewicza.

Ty, Szymek, nie siedź, biegnij do sklepów pana Naubama, znajdziesz go w garniturze, poproś, żeby przyszedł pod jakimś pozorem. Czy ty choć zapamiętałeś, gdzie będzie pan Witkiewicz? Ty wiesz, gdzie ta kawiarnia Ziemiańska?

- Nie.

- Czy ktokolwiek tu wie o niej?

- Na Mazowieckiej albo Kredytowej, panie Cymber - powiedział Efraim.

- A może Koszykowej albo Icka Bombla? Pędź, Szymek, za panem Witkiewiczem, popatrz, gdzie się zatrzyma, żeby tu nie doszło do totalnej kompromitacji firmy. Coś mi mówi, że z takim personelem i zarządem może ona i do wieczora nie dotrwać!

Postać pana Witkiewicza była gdzieś daleko, jakby przesunęła się w innym, o wiele szybszym czasie. Chłodna żyła

swoim życiem, na przystanku z tramwaju wysiadali ludzie, zamazując dal jeszcze bardziej, i odtąd każdy mężczyzna w płaszczu, z szarą czapką wydawał się panem Witkiewiczem.

Szymek przeskoczył na drugą stronę ulicy i zobaczył chmurkę bladego dymu pod kinem Kometa; pan Witkiewicz

pałac papierosa zatrzymał się przy gablocie z fotosami. Zauważył Szymka w odbiciu, odwrócił się i powiedział:

- Myślę, gdyby twój tunel zaczynał się w Warszawie, wkrótce przybrałby kształt tych miejsc: rwetes, bałagan, handel.

W Berlinie, ordnung i patos, selekcja prze wejściu; w Moskwie bimber, bród, wszy i odnoga na Syberię; w Paryżu

smrodek perfum i dekadencji, modernizm, prostytutki przy drzwiach i dużo jałowej paplaniny; w Londynie bankierskie

plugastwo windowałoby niebotyczne ceny za same peronówki. Czy brałeś pod uwagę Zakopane? Tatry, Dolina

Morskiego Oka: i pięknie, i intymnie i - co nie bez znaczenia - do litej skały można by mocniej przytwierdzić

końcówkę tunelu. Wyobraziłeś sobie owe szarpnięcia, gdy Księżyc drgnie? Gdyby Księżyc wyrwał z ziemi górę

wielkości Giewontu? Powłókłby ją jak buzdygan.

- On nie szarpnie. On płynie jak w nieruchomej wodzie.

- O!

Mężczyzna ruszył i wszedł na ulicę Żelazną.

- Staram się sobie twój tunel przedstawić w plastyce form: dwie kule, większa i mniejsza, połączone liną, kręcące się w

czarnej przestrzeni; do jakiego obrazu można to odnieść, do czego porównać? Katorżnicze kajdany? Lasso do

polowania na australijskie strusie. Resztką różańca?

- To jak jabłko odsunąć o trzydzieści jego średnic od śliwki.

- Trzydzieści razy? Wyobrażałem sobie odległości nie do pojęcia, coś jak najwznioślejsze teorie w sztuce, a tu proszę:

jabłko i śliwka. Więc kosmos jest banalnie mikroskopijny! W takim razie, jeżeli Warszawa ma średnicę, założmy,

dziesięć kilometrów, do Krakowa niech będzie trzysta, wychodzi coś w proporcjach zbliżonego jak odległości i

wielkości tych miast, prawda?

Mężczyzna zatrzymał się i wszedł do sklepu pana Joskowicza, gdzie jabłka w równe piramidy układała jego kaleka

wnuczka Pesia. Półmrok sklepiku i te połyskujące stożki zaskoczyły gościa, który rozejrzał się po szklanych słojach z cukierkami.

- Niestety, śliwki wyłącznie suszone - rozkładał ręce pan Joskowicz, gdy Szymek znalazł się w środku. Sklepikarz

uważnie przyglądał się sytuacji: klient przywołał palcem chłopca, po czym powiódł palcem po słojach z cukierkami,

wskazując też półki pełne butelek, nad którymi kręciła się wielka mucha. Przeniósł spojrzenie na chłopca.

- Widzisz te dwie kuliste formy o zbliżonych proporcjach? Może być coś takiego? Ziemia i Księżyc. - Wziął jabłko i zbliżył je do swojej głowy; patrzył wyczekująco na Szymka. Joskowicz pocierając dłońmi próbował coś powiedzieć, ale nie znajdował odpowiedniego słowa.

- A! - rzekł wreszcie. - Szymek Cymber niejedną tu rzecz na światową skalę przewiduje, rozumiem, ale podpowiedzieć nic nie potrafię; moja głowa, chociaż wielkością zbliżona do szanowniepańskiej, za mała, żeby zrozumieć przyszłość inną niż ta, że Abel, mój syn, prowadzić będzie sklep po mojej śmierci.

- Piłka - powiedział pan Witkiewicz i gwałtownie wyszedł.

Szymek sunął kilka kroków za nim. Ale na ulicy nigdzie nie było piłki, której mężczyzna gwałtownie szukał trafiając

przy tym wzrokiem na wszystkie kuliste czy okrągłe przedmioty: tabliczka z numerem tramwaju, złoty talerzyk

wiszący pod szyldem fryzjera, okrągła torebka na łokciu kobiety prowadzącej psa.

Z cukierni pana Lewandowskiego buchnął słodki zapach. Pan Witkiewicz wszedł, przesunął się obok lady zaglądając

do gablot, zatrzymał wzrok na wisience tkwiącej w kremie jednego z ciastek. Wypatrzywszy pączki dwoma palcami

poleciał cukiernikowi zapakować do tutki, odebrał, wsunął w torebkę do ręki Szymka.

- A jeżeli we wszechświecie, poza Ziemią i Księżycem, nie znajdują się inne kuliste formy odpowiadające stosunkowi ich wielkości? - zapytał.

Cukiernik tłumił w małych ustach wesołość.

- Można zapytać? Gdyby była możliwość wycieczki na Księżyc, czy skorzystałby pan z propozycji? - zapytał go pan Witkiewicz.

Ten zatrzęsł się ze śmiechu, pomachał dłonią, jakby płoszył muchy.

- Ja już o tym wiem, szanowny panie - powiedział. - Dwóch moich synów chodziło z tym tu wynalazcą do jednej klasy.

Już i byli z nim na Księżycu z dziesięć razy, a także gdzie indziej. No, pochwal się, jak to wędrowaliście pod oceanem

szukając podwodnych bańek. Ja już wiem od nich, że na głębokim dnie są powietrzne bańki, gdzie przechowują się

kształty ludzi. Rozumie pan: człowiek zajmuje ileś miejsca, kiedy umrze, to miejsce wypełniłaby pustka, jak w

termosie, prawda? Żeby temu zaradzić, ta ilość powietrza ląduje pod wodą i czeka, aż pojawi się ktoś identycznej

wielkości; pac! wyskakuje bańka i już jest jak trzeba.

Oczy pana Witkiewicza stały się jeszcze większe, błyszczące.

- To jest genialne odwrócenie problemu reinkarnacji. Nie dusza zachowuje wieczność, ale powłoka, to co nazywamy

ciałem, podczas gdy dusza umiera. W takim razie pan, jako cukiernik, niejako kształtujący swoimi wyrobami wielkość

form fizycznych, należy do grupy kapłanów owej wysublimowanej przez Szymona odkrywczej religii, mam rację?

Proszę nie mówić, padło tu pytanie wyłącznie retoryczne.

Cukiernik śmiał się, trzęsąc galaretowato, jak człowiek zamieniony w gumową, doskonale wykonaną, aczkolwiek

marnego wyrazu kukłę.

Tym razem to Witkiewicz wyszedł za Szymkiem i próbował go dogonić, ale chłopiec jedząc pączki zniknął w bramach,

by pojawić się w innym miejscu. W końcu niemal wpadli na siebie, gdy kolejny tramwaj odjechał, ludzie rozeszli się

po ulicy i przez kilka sekund, na środku pustego chodnika stali tylko oni: chłopiec i

mężczyzna próbujący zapalić

papierosa.

- Warszawa dla mnie to dżungla Borneo. Jaka to ulica? - zapytał Witkiewicz.

- Prosta.

- Czemu ludzie nazywają wszystko tak fatalnie? Daleko stąd do Kredytowej?

- Trochę daleko.

Szli, Szymek zostawał z tyłu, pan Witkiewicz zatrzymywał się natrętnie obserwując mijające ich twarze. Spojrzał na

tabliczkę kolejnej ulicy, a wyżej, z okna drugiego piętra popatrzyła na Szymka i uśmiechnęła się Wanda Blum, z którą

chodził do szkoły.

- Sienna - przeczytał mężczyzna. - A czemu nie Końskiego Łajna? Tak więc, Szymonie, w pełni akceptuję twoje

poglądy. Wierzę, że po śmierci kształt ciała, które otrzymałem, znajdzie się w twoich podwodnych magazynach,

czekając na moment, żeby ukazać się znowu. Moje myśli, znieruchomiałe słowa, odczucia duchowe, skojarzenia,

intelektualne doświadczenie, wszelkie talenty... one szeszają, zgniją jak zmięta kartka, ale ciało... tak, pojawi się tu

kiedyś, tak jak pojawią się ci ludzie, którzy tędy łążą. Ten tłusty cukiernik, sprzedawca jabłek, twój ojciec, mama, te

dziewczyny idące drugim chodnikiem, dorożkarz, dozorca, ale bez tej nonsensownej miotły, wszyscy bez

jakichkolwiek atrybutów swojej profesji: artyści bez bród, wąsów, śpiewacy bez czupryn, kalecy bez protez - wszystko

odtworzy się, w identycznym kształcie, pluńmy na wątpliwości! Powiedz mi, kwintesencji odwiecznego

grafomaństwa, co wypisujesz?

- Co będzie kiedyś. O roku dwutysięcznym. Piszę z przyszłości.

- Nie o przyszłości, ale z przyszłości! Więc ty już jesteś tam, usadowiłeś się w końcu stulecia, patrząc stamtąd na

dzisiejszość, na wspomnienie. Obserwujesz świat martwy jak sen, podsłuchujesz wygasłe rozmowy, przypominasz

tylko zapachy, ludzi chodzących obok, czy tak?

- Nie. Tego tam już nie ma.

Witkiewicz wypchnął językiem papierosa celując do kanalizacyjnej szczeliny, poprawił butem, ześliznął się z chodnika

w rynsztok i oczy ich obu znalazły się na tej samej wysokości.

- Jednak moja powietrzna bańka jest w oceanie, czeka na impuls, nie zaprzeczysz?

- Tak myślałem dawniej, dwa lata temu, teraz już nie myślę takich głupstw. Nic nie może przenosić się ani być, jeżeli

tego nie ma fizycznie.

- W takim razie stwierdzasz, że z perspektywy daty, w której przebywasz, nie istniałem, sześćdziesiąt ani sto lat

wcześniej? Nie urodziłem się, nie namalowałem setek bohomasów; a moje dramaty, książki? Czymże jest więc teraz nasza rozmowa? Kim jest ta czarnowłosa dziewczynka, która z okna na ciebie zerka? Jej też nie ma?

- Nie ma.

- A ty sam, jesteś?

Szymek uśmiechnął się, popatrzył na buty mężczyzny, między którymi skądś ciekła woda, powiedział:

- Co już jest, tego nie ma, a będzie tylko to, czego jeszcze nie było. Tunel kosmiczny jest dlatego, że nie ma go teraz.

Pan Witkiewicz stał chwilę, potem zaszedł do sklepiku z tytoniem. Otworzył kupioną paczkę i już w sklepie zapalił;

wrzucił zapałkę do popielniczki, gdzie z piasku sterczały robaczki niedopałków.

- Więc i tego sklepu nie ma - powiedział, a sprzedawca podniósł głowę znad gazety. - Nie ma tego czytającego

milczka, furmanki, tej elegantki w taksówce - mówił stając na schodkach, poniżej których paradował tłum ludzi i

pojazdów. - Więc co tutaj dzieje się naprawdę, przedstaw to jakoś, czym jest to, co widzimy?

- W roku dwutysięcznym wszystko jest inaczej - powiedział Szymek. - Tych domów nie ma.

Ulica Żelazna idzie tak,

szerszej, aż tam, do Złotej. A ulica Złota jest dużo szersza, a z jednej i drugiej strony stoją szklane do połowy domy.

Nad nimi wisi przezroczysty dach, żeby wilgoć nie dostawała się do tunelu - wyjaśniał chłopiec.

- A sam tunel gdzie?

- Blisko Głównego Dworca, żeby ułatwić dojazd, ale podziemny kanał prowadzi też od Wisły, dla tych, co chcą

przypląć z wybrzeża ciśnieniową żeglugą. Wielu ludzi woli przyjechać swoimi samochodami ze sztucznymi

szoferami, którzy mogą nie spać i kierować dowolnie długo. Samochody też oczywiście są inne - zaśmiał się Szymek i

popatrzył na czarną limuzynę stojącą przy skrzyżowaniu. - Tak wyglądać by już nie mogły, bo takie źle przecinały

powietrze i brudziły. Poza tym nikt nie chce niewygodnie siedzieć, kiedy i tak kieruje mechaniczny szofer. Można

leżeć, a jak coś się nie spodoba za oknami, bo tak jechać i jechać setki kilometrów i patrzeć na krowy czy pola nie jest

ciekawie, jak ktoś się znudzi, to zobaczy za oknami, co zechce, jakie sobie miejsce wymyśli.

Jadąc przez Polskę można

patrzeć na Amerykę czy Chiny, ale i odwrotnie. Jak coś pomyśli, powie tylko, i już jego myśl jest zanotowana na

niewidocznej kartce.

- W dziwnym czasie mnie nie będzie - zauważył pan Witkiewicz.

Szli Złotą; szyldy, witryny, drzwi, wszystko poruszało się jak nakręcone, odtwarzając codzienny rytm. Przechodnie

spacerowali tu wolniej, więcej było eleganckich, spokojnych kobiet, a taksówki czekały jak leniwe zwierzęta.

- Przecież domy nie mogą być takie ceglane - coraz śmielej mówił Szymek. - Dla potrzeb kosmicznego tunelu ich nie

ma i dwadzieścia ulic zburzono, żeby zamurować śruby, potem postawić hotele dla cudzoziemskich pasażerów, warsztaty konserwujące tunel, kanalizację, szerokie ulice, żeby wygodnie dojechać.

- Więc ci ludzie żyjący tu, czy może imaginujący, że żyją, są tylko substytutem tych, którzy przyszedli później i spełniają się życiem nie imaginacyjnym, lecz autentycznym?

Szymek nie odpowiedział.

- A jeżeli ci z roku dwutysięcznego, czyli z twojego czasu, okaże się, że są tylko formą przejściową ludzkiego bytu? Czy wydaje ci się, że osiągnąwszy Księżyc, długowieczność, zdrowie, możliwości transportu, a nawet całkowitej iluzji, ludzie spoczną? Może gdy ty, pełen samozadowolenia, siedemdziesięcioletni starzec poskładany ze sztucznych kawałków, uznałeś, że jest już wszystko co możliwe, gdzieś kręci się już jakiś inny Szymek, czy Mordechaj, który wymyślił czas jeszcze dalszy i lepszy?

- W dwutysięcznym roku nie ma już takiego problemu. Ludzkość lepiej urządzona zajmuje się tylko odkrywaniem nowego. Po co komu wymyślać coś innego, kiedy każdego dnia przychodzą nowe wiadomości? Żyjąc sto pięćdziesiąt albo i więcej lat, bez choroby, nie męcząc nóg ani ciała, każdy żyje naprawdę.

- To na co wtedy moje rzemiosło, albo i na co twoje wymyślanie?

- Niepotrzebne.

- No tak. Lecz jak to się dzieje, że stoimy tu razem? Popatrz, sklep Nortona, garnitury nowiutkie, nie byłoby logicznie, w mojej sytuacji, pójść i tutaj kupić co trzeba? Więc czemu wybrałem zakład twojego ojca? Ja wiem, polecono; niedrogo a solidnie; ojciec twój nie ponosi tu najmniejszej winy, że sprawy się pokomplikowały, a jednak? Dostrzegasz, Szymonie, ten astralny mechanizm kierujący dziwactwem losu? Dwa lata temu trafiłem do kawiarni Ziemiańskiej, wypilem, wsiadłem do dorożki z jednym literatem o podejrzanych skłonnościach i podwiózł mnie do salonu twojego ojca, gdzie obstałowałem garnitur, dałem a conto i ustaliłem dwutygodniowy termin. Wir zdarzeń sprawił, że po tych dwóch tygodniach, absolutnie splukany, aczkolwiek w ramionach pewnej wędnącej piękności, znalazłem się w Zakopanem z postanowieniem, że nigdy więcej nie odwiedzę Warszawy. Po kilku miesiącach pojawiły się wyrzuty sumienia. Gryzły jak brazylijskie dziwki, nocami, otwierając oczy, widziałem ten samotny garnitur - kształt, format odpowiadający mojej cielesnej powłoce. Dwa lata koszmarów, wyrzutów sumienia, nadziei i dylematów. W końcu dzisiaj zjawiam się, by tę swoją filozoficznie i materialnie formę, wręcz odcisk, odebrać i trafić na ciebie, człowieka wyjaśniającego mi prostą sprawę, że mnie po prostu już nie ma. Rzecz ma charakter bardziej dramatyczny poprzez fakt, że sztuka bierze się, jak głosi teoria, z atawistycznej chęci pozostawienia po sobie znaku, tak



zwanego śladu czy innego czorta, wobec czego - zrozum mnie, Szymonie - muszę udowodnić, bowiem inaczej być nie może, że w istocie to ty nie istniejesz, nie istniałeś i ciebie, a także roku dwutysięcznego prawdopodobnie nie będzie!

Jeżeli to takie proste: wymyślić, opisać i czekać tylko, aż się stanie, dlaczego akurat twoje, a nie moje wizje mają obowiązek się spełnić?

- Bo tak.

- Argumentacja nie dająca nadziei. Wobec tego i garnitur, przymiarka, kawiarnia Ziemiańska, tego też już nie ma?

Więc czym to jest, do cholery, teatrem, którego nikt nie oglądał?

Chłopiec nic nie powiedział.

- Jakie mam wyjście, chcąc potwierdzić sam siebie? Muszę podjąć pojedynek z tobą, Szymonie. Stoczmy śmiertelny

bój naszych wizji. Kto przegra, zostanie usunięty raz na zawsze, zgoda? Kto jednak będzie sędzią? Czas?

Chłopiec milczał. Szli chaotycznie, przeciąg rozwiewał poły płaszcza mężczyzny, rozrzucił jasne włosy chłopca.

- Ustalmy więc, gdzie jesteśmy - zaproponował mężczyzna.

- Przeszliśmy ulicę Emilii Plater, a to cały czas Złota.

- Więc ulice zostały?

- Złota do Marszałkowskiej tak, innych nie ma.

- I co, nikogo z tych ludzi tam nie ma, nikogo ze znanym mi nazwiskiem?

- Jest Hitler.

- O! - Gdy oczy pana Witkiewicza jaśniały, twarz szarzała, rozmywając się w ostrych brzdach. - A Stalin? Mussolini,

Rydz-Śmigły, Chwistek? Wiem, że ty jesteś, prawda? Jesteś? - Pan Witkiewicz znów stanął; przyglądał się

nadjeżdżającej dorożce. - Czy chociaż mój grób można tam odnaleźć? Możesz zaprowadzić mnie na mój grób?

Chłopiec milczał. Mężczyzna przywołał dorożkę, wskoczył.

- Będę w Ziemiańskiej! - wykrzyknął i końskie kopyta wpadły w swój gasnący rytm.

3.

Szymon Cymber pędził swoim wehikułem jak najszybciej do Warszawy. Nie musiał nawet mieć sztucznego szofera.

Jego pojazd sam poznawał wszystkie miejsca, drzewa, domy, mosty i wiedział, gdzie skręcić. Jeżeli właściciel

wypowiedział adres, wehikuł startował. Pęd opon podnosił go i dlatego we wnętrzu było miękko, cicho i nic nawet nie

drgnęło. Tym razem Szymon wypowiedział adres: Warszawa, do Głównej Stacji tunelu.

Chociaż była noc, za oknami pojazdu widziało się piękne domy, bogate gospodarstwa hodujące produkty na szklanych

półkach, jedna nad drugą, a podgrzewane ciepłem słońca zebranych do specjalnych baterii.

Prawie cały rok rosły świeże

warzywa, owoce, jagody. Zamykano je do skrzynek, w których mogły leżeć latami i nic się nie psuły.

Wehikuł Cymbra mijał nowe mosty, tak długie, gładkie, że omijały nie tylko rzeki, ale cokolwiek, co stało na

przeszkodzie. Niektóre mosty ciągnęły się nad całymi miastami, żeby nie utrudniać drogi, inne schodziły pod ziemię,

gdzie panowała cisza, więc tam lepiej można było przełączyć okna pojazdów na widoki innych światowych miast.

Szymon Cymber zechciał zobaczyć Nowy Jork. Jechał więc pod ziemią blisko Torunia, a patrząc w okno widział ogromne wieżowce, Murzynów, wielkie samochody, jakie nie nadawałyby się do Europy, gdzie ludzie gustowali w innych kształtach. Ciekawie było zobaczyć port w Nowym Jorku, w którym zatrzymywały się transatlantyki z Gdyni.

Ludzie, zachwyceni wycieczką na Księżyc, opowiadali znajomym, co widzieli, inni szykowali się do drogi. Wszyscy mówili tylko o tym. Rzecz jasna, niejednemu bogaczowi chodziło po głowie, żeby wybudować drugi tunel w Nowym Jorku, ale to nie było możliwe, ponieważ wtedy oba tunele raz na ileś tygodni musiałyby się splątać. Zresztą, cóż, gdyby nawet spróbowano, bez pewnych księżycowych pierwiastków nie byłoby to możliwe, a je trzeba było kupować w Warszawie. Ministerstwo Tunelu miało przepisy zabraniające.

Szymon wiedział o wszystkim najlepiej. Był w końcu autorem pomysłu i najwyższym ekspertem. Światowa Rada nie mogła niczego zrobić bez jego opinii. Dlatego był spokojny, patrząc pod Toruniem na Nowy Jork. Zastanawiał się, czy pochodzący z Torunia Kopernik przewidywał coś takiego? I wtedy przyszła Cymbrowi do głowy myśl, że przecież wszystkich ludzi można odtworzyć. Jeżeli zna się miejsce czyjegoś pochówku, zbierze się odrobinę popiołu...

Szymek przerwał pisanie. Dzwonek nad drzwiami odezwał się ostro, krótko, jak wtedy gdy wchodziła matka. Skupiona cisza pracowni rozpadła się na krzątanie. Dobięły pojedyncze słowa, pojawił się przeciąg i matka stanęła na pierwszym stopniu. Z zakładu wyszedł za nią ojciec, wyciągnął małą dłoń, jakby próbował chwycić żonę za łokieć.

Odwróciła się, cofnęła rozmawiali krótkimi zdaniem. Nazwisko Naubama kręciło się jak osa. Cofnęli się do zakładu, zostawiwszy półotwarte drzwi.

- Z pewnością to nie taki, zupełnie niepodobny - powiedziała stanowczo matka i wróciła na schodki.

Przygnębiony ojciec, mały i pokurczony, stanął w drzwiach.

- Gdybyś nie wybrała się dzisiaj do tej twojej ciotki Rosenowej, posłałbym Szymka po ciebie, poradziłabyś kupić, jaki trzeba. Ale ty jak na złość uparłaś się na twoją ciotka Rosenowa! Chociaż zostaw jej adres, żeby wiedzieć, gdzie szukać! Na całym świecie nikt nie wie, gdzie ta kobieta mieszka.

- Co poradzić, że mój mąż postępuje nie jak poważny krawiec, ale głupiec? Nie musisz nic szyć dwa lata po terminie.

Jego garnitur już... fiuuu! pofrunął. Adamie, sprzedałam go panu Naubamowi, zapomniałeś?

- Szymek szukał i szukał tego człowieka, pół Warszawy obleciał z powodu... z ważnego powodu, nie tam z byle

jakiego! Ty wiesz, kto jest pan Witkiewicz?

- Ktoś, kto dwa lata nie odbiera zamówienia. To wcale nie było takie łatwe pozbyć się jego garnituru za przyzwoitą

cenę. W takim kryzysie sprzedać coś człowiekowi takiemu jak pan Naubamowi! Nie narzekaj!

Szymek musiał przeczytać ostatnie zdania, by zebrać myśli.

Jeżeli zna się miejsce czyjegoś pochówku, zbierze się odrobinę popiołu, zamieni w metalowy proszek i przepuści

między stacją magnesów, pouzupełnia braki, otrzymać można kształt człowieka, którego chce się odtworzyć. To jasne,

że ten człowiek nie może być idealny, ale bardzo podobny. Co ciekawe - wiedział o tym

Szymon Cymber - najprościej

odbudować mózg, jeżeli zbierze się chociaż troszkę popiołu mózgowego, reszta odtwarza się sama, jakby sam mózg

przypominał sobie, co utracił i mozolnie wszystko odtwarzał. Mniej więcej po dwóch dniach mózg już poznawał ludzi i

- co najciekawsze! - pamiętał też co nieco o tym, co było po śmierci.

- Piszesz? Pisz, pisz, rób tylko to, do czego jesteś stworzony - powiedziała matka wbiegając na schody. Była elegancko

ubrana, w zielonym płaszczyku i w butach na wysokim obcasie, pachniała perfumami.

Szymek przesunął się na

stopniu, przepuścił, stanęła za jego plecami, poczekała, aż ojciec zamknie za sobą drzwi pracowni. - Naprawdę nikt ci

nie powiedział, gdzie mieszka ciotka Rosenowa?

- Nie.

- Nie wiesz też, gdzie mieszka pan Naubam? Ej, dlaczego zawracam ci głowę! Skąd możesz wiedzieć, kiedy nikt nie

wie, gdzie może mieszkać ktoś taki jak pan Naubam.

Drzwi za matką ztrasnęły, w łazience zaszumiała woda, a para wydostawała się nawet szparami podłogi; na dłoniach

Szymka pojawiły się małe krople. Przeczytał ostatnie zdanie, przekreślił drugą połowę i pisał dalej:

Mózg po odtworzeniu musi się dostosować do nowego świata. Najpierw wszystko go dziwi.

Przede wszystkim patrzy

na siebie i widzi w lustrze kogoś podobnego, ale nie całkiem. Jakby ociosano człowieka z grubsza tylko, bez

szczegółów, jak manekin. Porusza się taki człowiek odtworzony na początku wolniej, nie umie jeść jak trzeba,

zwłaszcza że i smak pokarmów się zmienił, inne są przyprawy, a niektóre potrawy zupełnie obce. Ale to nie jest takie

trudne. Gorzej z ubieraniem. Jeżeli ktoś odtworzony żył pięćset lat temu, zupełnie nie potrafi zrozumieć, co powinno

się podobać, a co jest śmieszne. Na przykład nie ma już nikogo w zbroi, nie ma czubatych butów, a kobiety pokazują

gołe nogi. Jak to możliwe? zastanawia się odtworzenie. Czy już kobiety nie mają wstydu? A jak mu zrozumieć

samochody czy tramwaje? A telefony? Chodzi i coś słyszy, a tam w pokoju nikogo nie ma, tylko stoi skrzynka z

zielonym okiem jak u smoka i mówi albo gra muzykę. Jak coś takiego jak radio może on zrozumieć? Albo wysokie

domy. Dlaczego stoją, nie zawałają się, a jak ludzie tam wchodzą; nie może zrozumieć, że są windy. Co tu mówić! W

jaki sposób może on rozpoznać choćby miasto, z którego pochodzi? Wszystko tu przecież odmienione. Chodzi i przyzwyczajają się.

Szymon Cymber zastanawiał się nad tym, jak to zrobić i wymyślił szkoły dla odtworzeńców. Jego wehikuł minął już Toruń i dostał się do Wisły, żeby dalej pędzić trasą ciśnieniową. Pojazdy wskakiwały do niej, zamykała się nad nimi przezroczysta klapa, a ciśnienie tłoczyło pojazd z taką szybkością, że na zewnątrz wszystko zamieniało się w coś takiego jak sen: Szymon był tu, a za sekundę w innym zupełnie miejscu, potem znowu, w jednej chwili, tak, że nie potrafił zastanowić się nad czymś, mógł tylko leżeć na swojej kanapie i patrzeć za okna. Już nie widział Nowego Jorku, tylko znowu wrócił do filmu przyniesionego przez gołębia znad Gdańska. Widział na placu wojskowym tysiące ćwiczących żołnierzy niemieckich. Byli potężni, mieli twarze jak z żelaza, uzbrojenie takie, jakiego sześćdziesiąt lat temu nie miały czołgi. Ich hełmy odbijały większość kul, a specjalne okulary pozwalały widzieć w nocy i celować do najmniejszego przedmiotu. Była to armia doskonale wyćwiczona i niektórzy podejrzewali, że jest ona stworzona ze sztucznych ludzi, jakich wyhodowano w faszystowskim laboratorium. Każdy z nich ginął dopiero po trzeciej albo i więcej śmierci. Kula dziurawiła go, a po minucie on wstawał i szedł dalej, mordując każdego.

Druuga kula zatrzymywała go na pięć minut, ale też podnosił się i znowu atakował. Po trzeciej kuli leżał pół godziny. Jeżeli w tym czasie nie pojmało się go i skulo, wstawał, by dalej niszczyć. Nic dziwnego, że takie wojsko było trudne do zatrzymania. Na szczęście Szymon Cymber opracował już specjalny zagęszczony promień słońca. Ogromna temperatura zebrana w lufę nowej broni topiła wszystko, tylko skapywało. Przez siatkę z takich promieni nie przedostawał się nawet pocisk, topniał na miejscu. Niemcy nie wiedzieli o tym i szykowali atak na Polskę. Oczywiście, chodziło im teraz o zdobycie tunelu.

Mieli tysiące podwodnych okrętów, zanurzających się tak szybko jak żelazny pręt w wodzie, a wypływających spod wody jak korek. Niestety, słoneczny promień nie nadawał się do walki pod wodą. Gotował tylko w głębinach strużki wody i gasł. Cymber musiał coś wymyślić. Siedział i zastanawiał się, a jego pojazd sunął ciśnieniowym kanałem i był już blisko Warszawy. Peryskopem dojrzał światło nad miastem, a przede wszystkim zobaczył kosmiczny tunel.

Naprawdę, ktoś - zobaczywszy to po raz pierwszy - nie wiedział, co powiedzieć. Jakby złota rura wbijała się w ciemne niebo. Była czarna noc, pełna gwiazd, więc tunel wyglądał wspanialej niż kiedykolwiek. Szymon widział odjeżdżające zgodnie z rozkładem składy transportowe, widział te powracające. Pomyślał, patrząc na swoje dzieło, jak to by było,

gdyby mogli zobaczyć tunel najwięksi zmarli ludzie? Wszyscy mędracy, wielcy artyści, filozofowie, Kopernik, Newton, Galileusz. Postanowił, że całą swoją wiedzę przeznaczy na opracowanie sposobu, żeby ożyli. Jeżeli jednak Niemcy skradną mój wynalazek i po drugiej stronie frontu odtworzą wszystkich zbrodniarzy? zastanawiał się. No nie, pomyślał Cymber, nigdy w historii nie było większych okrutników niż dzisiaj, więc tamci byliby przy nich nieszkodliwi. Największym zagrożeniem by było, gdyby taki podzielony świat miał zostać na zawsze. Wtedy, za ileś setek lat, Niemcy ukształtowałyby się inaczej niż reszta ludzkości. Kto wie, może ich skóry pokryłyby się jakąś skorupą. Szymek oderwał ołówek od zeszytu, włożył go do ust i wsłuchiwał się w odgłosy z mieszkania. Matka już wyszła z wanny, włączyła radio i słuchała jazzbandu. Chłopiec wstał, podszedł do drzwi, uchylił je lekko i zobaczył ją w szlafroku, kręcącą się w tańcu, jakby prowadził ją niewidoczny mężczyzna. Ten ktoś tańczył tak pewnie, że matka przemieszczała się po całym pokoju, od okna do drzwi sypialni, nie trącając stołu, krzesel ani kredensu. Tylko firanki falowały, gdy mijała je lekko, przymykając oczy. I w ten sposób znalazł się Szymon w Warszawie. Nie skorzystał z bezpośredniego dojazdu do stacji tunelu, ale wjechał na most Kierbedzia, przebudowany, unowocześniony, z wielkim placem na środku, gdzie stały lekkie, szklane budynki. Wszystko świeciło. Była noc, ale naprawdę miasto kapało się w świetle. Wehikuł Cymbra tutaj zmieniał swój kształt. Agent nie chciał, żeby wszyscy ludzie wiedzieli, jaka to ważna osoba podróżuje ulicami. W ten sposób jego pojazd, chociaż nie zmienił się w środku, na zewnątrz nie różnił się od innych, nowoczesnych samochodów. A było ich pełno. Każdy w innym kolorze, w różnym kształcie: ludzie mogli zamówić sobie dowolny, ale nie taki, żeby szpecił czy komuś przeszkadzał; nad czymś takim czuwała specjalna Komisja od Transportu. Tak więc rodzajów pojazdów były tysiące, a jednak na ulicach wyglądało to ładnie, można powiedzieć, przepięknie. Większością kierowali sztuczni szoferzy, lecz jeśli ktoś lubił prowadzić samodzielnie, miał do tego prawo. Poza tym niektóre ulice miały po dwa, nawet trzy poziomy. Te wyższe były oddzielone przezroczystymi taflami od najniższego. Po nich poruszały się samochody latające. Stare Miasto odmieniło się zupełnie. Zamiast Rynku ze straganami, zamiast brudnych bram i podwórek można tam było zobaczyć najdziwniejsze rzeczy, a wszystko w nowoczesnych, kolorowych budynkach. Wielka fontanna na środku lśniła kolorami, tryskała złotą wodą, ludzie odpoczywali w restauracjach, patrząc na wielkie ekrany, gdzie z drugiej strony, ze specjalnych szczelin w ścianach projektory wyświetlały obrazy z całego świata. Tak

więc można było, siedząc tam i pijąc wino, patrzeć na afrykańskie słonie albo płynąć Amazonką obserwując najdzikszych ludzi. Nic przy tym nie groziło, bowiem słonie wyjść na zewnątrz nie mogły, a dzicy ludzie, strzelając zatrutymi strzałami, nikomu nie szkodzili. Projektorzy ludzi zaskakiwały co jakiś czas i zniecała pokazywały podwodne życie, tam gdzie jest już czarno jak w nocy, wielkie głębiny, do których - wydawało się - nikt nigdy nie dotrze. A jednak w dwutysięcznym roku to już było możliwe. Kształty przyrody widziało się tak nieopisane, że temu, kto sam ich nie zobaczył, nie pomoże nawet najlepszy opis. Szymon pojechał ulicą Krakowskie Przedmieście. To była ulica najelegantsza z wszystkich, ale poza młodzieżą każdego było stać na kupienie w wielkich sklepach wszystkiego. Oczywiście, jedni ograniczali się bardziej, inni mniej, jak kto wolał, nie było jednak czegoś takiego, że ktoś pragnął jakiegoś ubrania, a tutaj niestety - brakuje pieniędzy. Rzecz jasna, nie mogło być i tak, że każdy dostaje to, co tylko zapragnie; wtedy domy wielu ludzi zamieniłyby się w coś podobnego do składów; zarobki umożliwiały wiele, ale zmuszały ludzi do oszczędności i do lepszej pracy. Oczywiście, takiej pracy jak: zmiatanie ulic, węglarstwo, czyszczenie kanałów, układanie bruków, już nie było. Gdyby nawet się trafiła, wykonywali ją sztuczni ludzie. Dla nich praca mogła trwać cały czas, nie męczyli się, zużywali tylko części, ale je wymieniano. Wielu sztucznych ludzi podrobiono tak dobrze, że stali przed hotelami, otwierali drzwi w samochodach, przecierali szyby, a także wyprowadzali psy do parku. Policja też była sztuczna, chociaż nadzorowana przez Ministerstwo, żeby tym sztucznym coś czasem nie przyszło do mechanicznych mózgów, że są tacy sami albo i lepsi od ludzi naturalnych. Tak wyglądała Warszawa, gdzie w gruncie rzeczy wszystko było podporządkowane działaniu tunelu kosmicznego. Ludzie z całego świata przybywali tu, chodzili albo jeździli po ulicach, odwiedzali lokale, kupowali najnowsze ubrania szyte im przez maszyny na miejscu, co trwało nie dłużej niż czyszczenie butów. Widziało się na ulicach Warszawy, poza Niemcami, różne narodowości. Europejczycy wyglądali prawie tak samo, ale Murzyni rzucali się już w oczy. Amerykanie też, przez swój sposób ubrania, cygara, inne pieniądze i hałaśliwość. Arabowie chodzili ze swoimi wieloma żonami, było dużo Izraelitów, którzy odwiedzali przy okazji swoich krewnych w Warszawie. Byli Azjaci, biedni, zacofani, ale różne organizacje fundowały im wycieczki, żeby ich uświadomić. Rosjanie przybywali w futrach, jedni bogaci, inni biedni, wielu lubiło wypić alkohol, ale z tym nie było problemu: dawano pastylkę, która oczyszczała organizm i już był trzeźwy.

Szymon Cymber wjechał na ulicę Świętokrzyską i zobaczył stację tunelu w całej okazałości. Znajdowała się przy Marszałkowskiej, obok Złotej i Alej Jerozolimskich. Dworzec Główny PKP, budynek przecież nie najmniejszy, wydawał się przy niej budką. Wszystko było okryte szklaną powłoką w kształcie wielkiego tulipana, z którego wychodził sam tunel. Tulipan zmieniał swoje barwy i za każdym razem ludzie patrzyli ze zdumieniem, że można wymyślić coś nowego. Zresztą, sam tulipan też raz rozwijał się bardziej, raz mniej, niekiedy wręcz płonął. Zwłaszcza wtedy, gdy przybywała jakaś znacząca osobistość, żeby wyruszyć w podróż.

- Czy mama już wyszła z łazienki? - Na dole pojawiła się twarz ojca. - Zobacz Szymek; jeżeli wyszła, poproś, by zeszła na dół, pośpiesz się.

Chłopiec podszedł do drzwi mieszkania. Zaskoczyła go cisza. Oko radia zieleniało jak u gada. W pokoju matki nie było, w sypialni leżały jej pończochy i buty na obcasie, w łazience po kąpieli pozostała tylko wilgoć na lustrze i kilka płamek na podłodze. Matka siedziała w jadalni; trzymając przy policzku słuchawkę telefonu patrzyła za blade okno, skąd gapiły się okna innych mieszkań.

- Nie mogę tego słuchać - powiedziała do kogoś w słuchawce. - Przestań tak mówić, przestań nawet o tym myśleć!

Szymek wszedł, ale w jadalni podłoga była najcichsza w całym domu, w dodatku wymoszczona dywanem; doszedł do matki, a ona wciąż tego nie słyszała.

- Nie, Moryc, nie i jeszcze raz nie, szalony człowieku - powiedziała i odsunęła słuchawkę patrząc na nią tak, jakby między czarnymi dziurkami widziała czyjąś twarz. Cichy głos coś mówił, matka uległa, znowu zbliżyła słuchawkę do ucha. - Jaki to ma sens? Tu już nie chodzi o mnie, o nikogo innego, ale o ciebie, tylko o ciebie. Dlaczego tak mówisz? Czy to ma być szantaż? Nie, nie, przepraszam, cofam to słowo, cofam, nie było go... posłuchaj...

Szymek wycofywał się z jadalni, matka przecierała nos, jej bose stopy wyginały się na dywanie.

- Posłuchaj, Moryc, ja do ciebie przyjdę. Dobrze, przyjdę, będę tam, ale ty czekaj, obiecujesz? Czekaj, i niczego nie rób, nie, po prostu poczekaj na mnie...

Szymek był już przy drzwiach, gdy matka raz jeszcze odsunęła słuchawkę wpatrzona w nią, a potem gwałtownie przyłożyła ją do ucha i spazmatycznie wykrzyczała:

- Dobrze, niech będzie, niech stanie się, czego chcesz, ale nie rób takiej rzeczy! Nie siebie chcesz, ale mnie w ten sposób zabić! Czekaj, czekaj, czekaj...

Odłożyła ostrożnie słuchawkę, tak, żeby nikogo nie spłoszyć, wstała wolno, szczupła, dziwnie młoda i lekka, ale zachwiała się, oparła o poręcz krzesła i wtedy zobaczyła syna. Niemal podbiegła do niego, objęła, przytuliła: płakała.

- Widzisz, jaką masz matkę, widzisz - wyszeptwała. - Ale to nic, Szymek, wszystko będzie dobrze, zobaczysz, że my wszyscy...

Powiedział jej o poleceniu ojca. Wycierała oczy, poprawiała włosy, ubierała się przechodząc obok lustra i sprawdzając siebie, potem wyszła i zbiegła po schodkach do zakładu.

Szymon Cymber zastanawiał się, dlaczego właściwie przyjechał do Warszawy? Nie musiał tego robić, wszystko było w najlepszym porządku, poza jednym: jakaś myśl podpowiadała, że coś się stało w pancерnej kasie, gdzie

przechowywano księżycowe pierwiastki. Sprowadził gołębia informującego o tym, co dzieje się w Gdańsku.

Drzwi znowu się otworzyły i ojciec z matką stanęli w nich jak fotografia wsadzona w za ciasną ramkę, przelewali się, próbowali dopasować swoje ciała, ale postać ojca wydawała się skazana na wycięcie.

- Jakie to ma znaczenie, jeżeli już i tkanina nie ta, czemu się tym przejmujesz? - mówiła matka. - Klapy niech będą

tegorocznego kroju, kieszenie, mankiety także. Te twoje wątpliwości, Adamie, czy ktoś może uznać za nieuczciwość

to, że dajesz komuś najnowszy model za dwuletni?

- Ja już nic nie wiem, Ester, ty mnie do wszystkiego przekonasz, nawet w takiej sytuacji. Ale to artysta, kto wie, czy dla

niego wybrany model nie ma jakiegoś większego znaczenia? - narzekał ojciec.

- Więc zastanawiaj się, wykonaj kilka wzorów, praktyczny człowieku, niech sobie wybierze, ja nie mam czasu na

konsultacje z mężem, który sam nie szanuje swojej pracy.

- Znowu gdzieś idziesz? Gdzie ty całymi dniami chodzisz?

- Idę cię zdradzać - zażartowała matka klepiąc policzek ojca. - Nie wierzysz? Tak, idę do kochanka, on beze mnie

gotów popełnić samobójstwo, on mnie szantażuje, chce, żebyś porzuciła ciebie, ten dom, poszła do niego, wyjechała

choćby do Ameryki...

- Ja cię poważnie pytam, Ester, a ty mnie tak kołujesz. Nie może być tak, żeby całymi dniami mąż nie wiedział,

gdzie przesiaduje jego żona.

- Odpowiadam najpoważniej, ale ty chciałbyś prawdopodobnie usłyszeć, że idę pozować artyście malarzowi, choćby

twojemu panu Witkiewiczowi do aktu, prawda? A może co innego, że twoja żona występuje w teatrze, gdzie

przychodzą tylko panowie? Co jeszcze może robić twoja żona, co byłoby dla ciebie najgorsze? Wymyśl sobie, a ja na

pewno robię akurat to, co wymyślisz.

- Jak ty mnie potrafisz, jak ty mnie umiesz... - Ojciec machnął ręką, a matka, zauważywszy Szymka na schodach,

spłoszyła się, zamilkła; mijając chłopca zmierzwiła mu włosy i zamknęła się na kilka chwil w sypialni.

Cymber patrzył teraz na Gdańsk. Faszystowscy agenci mieli specjalne osiedle, do którego dochodziło się z różnych

innych domów. Na przykład, agent G udawał, że mieszka na ulicy Bismarcka, a agent Y, że na ulicy Wagnera, a inny



agent, że jeszcze na innej, odleglejszej ulicy. Wchodzili do pewnych domów na tych ulicach, udając, że tam mieszkają,

a tymczasem udawali się do piwnic, gdzie były podziemne korytarze z wagonikami, co wozily ich do miejsca, gdzie

mieszkali naprawdę: do eleganckiej, opancerzonej dzielnicy imienia Zeppelina. Tam każdy agent miał swoje

mieszkanie. Tam mogli się spotykać i rozmawiać o swojej pracy.

Zabrzączał telefon, matka błyskawicznie poderwała słuchawkę. Teraz szeptała, ale szept wyciekał z mieszkania

szczelinami spenetrowanymi wcześniej przez opary z łazienki.

- Dobrze, dobrze... Uspokój się, bez hysterii... Nie, nie mówię, że jesteś historykiem, tak, oczywiście... Nie jestem

skrzydlata, nie dolecę w minutę, Moryc. Boże, jak mam ciebie przekonać? Tak... tak... tak... - powtarzał co chwila głos

matki, a było go słycać coraz lepiej, nawet wtedy, gdy Szymek pisaniem próbował zagłuszyć rozprasające umysł

słowa.

Szymon Cymber zauważył, że tego dnia najgroźniejszy z agentów - V - nie wszedł do swojego udawanego domu.

Gdzieś się zapodział. W tajnym, pancernym osiedlu też go nie zdołał wypatrzeć. To był jedyny agent, którego Cymber

mógł się obawiać. Choćby dlatego że wcześniej, kiedy jeszcze nie było z Niemcami konfliktu, ten agent - jeszcze uczeń

- opisał to samo co Cymber w swoich projektach: samorosnące ściany. Może nawet przewyższył Cymbra, ponieważ

pochodził z bardzo bogatej rodziny, mógł się lepiej kształcić i robić eksperymenty w swoim ogromnym laboratorium.

Poza tym płacił doradcom i dlatego to, co Cymber wymyślił w głowie i opisał, agent V mógł poprowadzić dalej. Gdyby

nie to, że takie samorosnące ściany były za miękkie jak dla Niemców, gdzie wszystko musiało być pancerne, na pewno

by je wykorzystano. Natomiast gdy Szymon wpadł na taki sam pomysł jeszcze w szkole w Warszawie, śmiano się z

niego.

Szymon Cymber zaniepokoił się: jeżeli najlepszego niemieckiego agenta nigdzie nie było widać, na pewno coś

niebezpiecznego zamierzał. Nasz wynalazca wyłączył projekcję filmu i wyszedł z domu.

Wiedział, że jak najprędzej

musi pojechać do Warszawy, do Ministerstwa, żeby o wszystkim władze zawiadomić. Nie mógł wysłać wiadomości

pisofonem, gdyż taką korespondencję agent V już na pewno potrafiłby podkraść. I właśnie dlatego tego wieczoru

Szymon Cymber znalazł się w Warszawie, blisko wejścia do tunelu.

Szymek, przeczytawszy swoje zdania, wyrwał poprzednią kartkę, wsunął ją za tą zapisaną przed chwilą i zastanawiał

się nad nowym pomysłem. Wyjął wyrwaną kartkę i przekładał ją raz tu, raz tam. Napisał:

Coś takiego, żeby można było swobodnie zmieniać zdania, raz tu raz tam, jakby przenoszone bez przepisywania.

Obrysował zapisek grubą ramką, podpisał: "Wynalazek!!!" i przelożył stronicę.

Szept matki już się nie przeciskał, ale wszedł w ściany, jakby jej powiększone usta czytały zewsząd słowa, których nikt nie powinien słyszeć:

- Nic nie rób, w takim razie nie rób nic, czekaj na mnie... Nie mogę być w tej chwili u ciebie, skoro nie kończysz

mówić... No właśnie, ubiorę się, a ty czekaj, nie dzwoń, za minutę telefon odbierze Adam, mnie nie będzie... Co z tego, że on? Posłuchaj, ten garnitur... Boże, nie, nie mówmy o niczym, ty po prostu nie dzwoń pod żadnym pozorem, Moryc.

Ja już nie wiem, nie wiem...

- Mama tam jest? - Ojciec wystrzelił z drzwi jak figurka zegara.

- Mamo! Tata woła! - krzyknął Szymek, zerwał się, upuścił zeszyt, luźna kartka poleciała na dół, pod stopy ojca, który pochylił się, podniósł ją i patrzył na nią jak na próbkę materiału. Mówił przy tym:

- Ty nie myśl, że pisarze mają łatwy chleb. Ty myślisz, że to wielki zaszczyt i coś więcej być takim jak pan

Witkiewicz? Jak ci się wydaje, dlaczego przez dwa lata nie odbierał zamówienia? Dlatego, że nie miał grosza. Teraz

może mu coś wydrukowali, może gdzieś sprzedał, co i tak zwyczajni ludzie nie będą czytać, teraz chce wykupić, bo człowiek uczciwy, ale pieniędzy to on nie ma. Widziałeś jego zepsute zęby, a chudość z czego?

- Ja nie chcę być żadnym pisarzem - powiedział głośno Szymek.

Rozmowa na piętrze przerwała się, matka krążyła blisko drzwi.

- Dużo poradzisz, kiedy już całymi dniami gryzmolisz. Pan Witkiewicz to polski pisarz, więc pomyśl, jak gołymi

tyłkami świecą ci żydowscy? Kto ich czyta poza samymi sobie? Dobrze choć, że po polsku piszesz, chociaż w tym

zakresie zachowałeś trochę rozumu... Żeby już ostatecznie dybuk Sienkiewicza wszedł w ciebie, to jeszcze można

pochwalić, ale jakiś inny? - stwierdził ojciec oddając kartkę.

- Co znowu? - Matka, przygotowana do wyjścia, stanęła na schodach.

- Ester, może chociaż guziki pamiętasz?

- Jaka to różnica? A zresztą, już schodzę.

Zbiegła, za otwartymi drzwiami zakładu odbyła się krótka, nerwowa dyskusja zakończona słowami matki:

- Te i tylko te, innych nie próbuj. Sto procent, że takie same!

Matka podbiegła do bocznego wyjścia, oparła dłoń o klamkę, przymknęła oczy; była podenerwowana, smutna, bliska

łez; zobaczyła na schodach oczy syna, chciała coś powiedzieć, ale otworzyła tylko usta i wyszła.

4.

Do kosmicznego tunelu wchodziło się dziesiątkami różnych wejść. Były liczne windy, nawet i takie, które

samoczynnie przenosiły ludzi kalekich czy starców. Ktoś, kto już wykupił peronówkę, gdy znalazł się na terenie

dworca, już właściwie niczym nie musiał się martwić. Różne strzałki i drogowskazy kierowały go we właściwe

miejsce. Nawet tego nie musiały robić: podróżny siadał na swoim fotelu, aparat fotograficzny robił mu zdjęcie i potem

dostarczał do odpowiedniej poczekalni. Były więc poczekalnie trzech klas. Najwięcej ludzi czekało w drugiej klasie, ale znajdowali się tacy, którzy chcieli trzecią, ponieważ byli oszczędni, poza tym trzecią klasą podróżowali studenci, młodzież, jacyś pielgrzymi, niekiedy poeci czy ubożsi pisarze, dlatego właśnie w trzeciej klasie było najciekawiej, najweselej, słyszało się różne dziwne historie. W drugiej klasie podróżowali ludzie średnio zamożni, tu było ciszej, salonki przyjemniejsze, lepsze jedzenie, ubikacje, łazienki z kafelkami, a ludzie wybierający tę klasę udawali się na Księżyc, żeby odpocząć po trudach pracy. Tam widziało się kupców, lekarzy, nauczycieli, prawników, majstrów budowlanych, krawców, mniej znanych aktorów czy artystów i pisarzy. Artyści mogli malować w wygodnej pracowni, gdzie czekały płótna i sztalugi. Wiele niezwykłych obrazów powstało przez ten czas, a niejeden malarz rozliczał się z koleją w taki sposób, że zostawiał swoje dzieła. Dzięki temu na stacjach kosmicznych widziało się najwspanialsze obrazy, nawet rzeźby przedstawiające widok Ziemi z kosmosu albo widoki Księżyca. Któryś hiszpański rzeźbiarz odkrył na Księżycu kamień doskonały do rzeźbienia. Co dziwne, ów kamień już po wstępnym ociosaniu sam orientował się, w którym miejscu zachować twardość, a gdzie miękkość. Tym sposobem posąg wykonany z niego miał, dla przykładu, miękkie miejsca gdzie była głowa, ręce czy stopy; twardsze - tamte okryte tkaniną czy skórą, a zupełnie twarde, gdzie rzeźbiarz wyciosowywał zbroję lub hełm czy guziki albo zegarek. Wyrzeźbieni ludzie nie różnili się więc niczym od prawdziwych. Na trzynastej stacji stały ich już tysiące, ponieważ każdy człowiek, który mógł sobie na to pozwolić, chciał uwiecznić swoją wędrówkę na Księżyc. W ten sposób powstała ogromna galeria różnych wędrowców. Niestety, wykonane z księżycowego kamienia posągi nie mogły być przewożone na Ziemię, bowiem tutaj minerał twardniał jak granit i cały efekt ginął. Ale to nic, trzynasta stacja była przeogromna, wydawało się, że znajdzie się na niej miejsce dla wszystkich ludzi. Tak było w drugiej klasie, a w pierwszej, z której korzystali najbogatsi ludzie świata, było tak wspaniale, jak w kabinach transatlantyków. Zamiast okien znajdowały się przezroczyste ściany. Podróżni leżeli na miękkich sofach i spoglądali na cały kosmos. Widzieli odległe gwiazdy, planety, niekiedy truchleli, gdy przelatywała kometa wielka jak góra Giewont, obracająca się wolno. Drżeli, żeby nie uderzyła o Ziemię, lecz Szymon Cymber przewidział i takie niebezpieczeństwa. Wiedział, że w przeszłości różne katastrofy kosmiczne dotknęły Ziemi, wybiły dinozaury, albo całe cywilizacje, więc zamontował przed Ziemią, dwa tysiące kilometrów wcześniej, lampy z zagęszczonym promieniem i

one cięży komety na kawałeczki, kruszyły, aż zostawał tylko pył. Gdy coś takiego spadało na Ziemię, ludzie zastanawiali się tylko, zwłaszcza dozorczy, dlaczego po wczorajszym sprzątaniu nie ma śladu, skąd przez jedną noc tyle pyłu na ulicy czy chodniku? Zmiatali wszystko nie znając prawdy.

Jednak Szymona niepokoiło, że te pyły spadają także na Niemcy, a przecież i one zawierać mogły tajemnicze pierwiastki, te same, których strzeżono na Księżycu. Co by było, gdyby Niemcy zorientowali się w tej sprawie? Tak, to było bardzo niebezpieczne.

Drzwi od podwórka jęknęły cicho, szybki cień przesunął się do drzwi pracowni, tam zamarł; gość, który przyszedł, nerwowo dopalał papierosa, zerkając za siebie, nasłuchując. Nie popatrzył na schodki, zastukał, uchylił drzwi pracowni, zajrzał. Po chwili wyszedł Dawid, obaj mężczyźni odeszli jak najdalej.

- Kiedy nie mogę, stary nie puści - tłumaczył Dawid. - Wiem, że byłem umówiony, ale nagła robota. Myślisz, że mi to pasuje? Rok byłem bez pracy, nie zostawię...

Przybysz szeptał niewyraźnie, Dawid odpowiadał głośniej:

- No i co? Powiedz towarzyszom, jaka jest sytuacja. Przyjdę zaraz po pracy. Tam gdzie powiedziałem.

- Ty wiesz, że oni mieli do ciebie wątpliwości? - wyraźniej powiedział przybysz.

- Z jakiego powodu? Kiedy trzeba ulotki, zawsze ja, kiedy w mordę komu dać, kogo wołają? Raz, jeden raz nie mogę.

- Bund... - szeptał nieznajomy, a Dawid paląc papierosa odchodził od niego i znowu podchodził.

- Więc dobrze, o siódmej idę, biorę co trzeba i tyle. Ja nie muszę wiedzieć więcej, ty nie mów, ja niosę, zostawiam...

- Ktoś tu jest? - poruszył się przybysz.

Szymek był już na samej górze; dwie pary oczu lypnęły z dołu, cofnęły się aż do drzwi, dobiegły ostatnie szepty i

przybysz zniknął w podwórku. Dawid, wracając do pracowni, dopalał papierosa i raz jeszcze spojrzął na piętro.

Z takich pierwiastków - Szymon o tym wiedział - możliwe było powiększenie człowieka, żeby był wielki jak Golem.

Taki człowiek mógłby mieć ciało odporne na wszelką broń czy zamachy, żyć mógłby tysiące lat. Co by było, gdyby

Hitler i jego ludzie stali się tacy? Jakie szanse mieliby wtedy inni ludzie, mali przy nich jak myszy, pędzani, chwytani

w pułapki, zginiatani? Co by było, gdyby takie potwory dotarły do Warszawy, zburzyły całe miasto, zgniotły domy, a

na ich miejsce wybudowały dla siebie jakieś wielkie, sto razy większe, stalowo-betonowe, nie do zniszczenia? Tej

wielkości giganci musieliby stworzyć tunel wiele razy szerszy, by się w nim pomieścić. Ile trzeba by było prądu, żeby

napędzać wtedy składy kosmiczne, a jakie kanalizacyjne rury, żeby usuwać gówna takich zbrodniarzy!

Szymek przeczytał to zdanie, zaśmiał się i dopisał: Kanalizacja kosmiczna i co z brudami - karmić kogoś, może energia

dla sztucznych ludzi? Obwiódł ramką.

W mieszkaniu odezwał się telefon, zadzwonił dwa razy, nim zadzwonił ten w zakładzie. Chłopiec zerwał się, wbiegł do mieszkania, chwycił słuchawkę.

- Halo!

Odpowiedziało westchnięcie albo słowo zamarłe w chwili, gdy tylko próbowało wydostać się z czyichś ust. Po kilku

sekundach z drugiego telefonu odezwał się głos ojca.

- Słucham! Ktoś się jeszcze wygłupia, żarty!

Szymek odłożył, na dole ojciec grzotnął słuchawką o widelki.

Na szczęście tego dnia nic się takiego nie wydarzyło. Szymon Cymber wjechał do kosmicznego dworca. Tu, gdzie

kiedyś były ceglane kamienice, teraz znajdowało się centrum świata. A jak to wyglądało!

Kolory, marmury, szkła,

srebro i złoto tworzyły coś nieprawdopodobnego. Wielka hala wznosiła się na kilkaset metrów; wszędzie mówiono w

różnych językach, które można było zrozumieć - ponieważ każdy człowiek miał słuchawkę, w której od razu

tłumaczono - opowiadano o tym, co dzieje się na świecie, a świat naprawdę bardzo się zmienił. Ludzkości nie

interesowały już takie rzeczy jak zajęcie czyjejś ziemi, opanowanie kolonii czy

podporządkowanie słabszego

silniejszemu. Ludzie dzięki tunelowi zrozumieli, że są tacy sami, są jednym narodem Ziemi, a ich zadaniem jest zbadać

cały kosmos, żeby zrozumieć wszystko, dowiedzieć się, czy gdzie indziej nie ma innych ludzi, a jeżeli są, przekazać im

swoje doświadczenie lub dowiedzieć się od nich czegoś nowego. Wiadomo już było, że księżycowe pierwiastki

umożliwiają bardzo wiele, może nawet wszystko. Wiadomo też - był na to dowód i dla żydów, i chrześcijan, i

muzułmanów, czy dzikich ludów - że Bóg istnieje. Któż inny bowiem, jak nie On, umieściłby na Księżycu owe

pierwiastki? Przecież gdyby nie On, nie byłoby ludzi, a gdyby nie było ludzi, po cóż byłyby jakiegokolwiek pierwiastki

na Księżycu czy na innych planetach. Ostatecznie nawet te stare, ziemskie pierwiastki byłyby bezużyteczne, gdyby nie

było człowieka. Cokolwiek gdzieś istnieje, jest tak umieszczone, żeby ludzkość w miarę rozwoju, doskonałości, mogła

po to sięgać, tak że prawdopodobnie po wykorzystaniu tego, co znaleziono na Księżycu, ludzie będą w stanie

powędrować na Wenus czy na Marsa, gdzie Bóg przygotował dla nich kolejną porcję darów, które umożliwią rzeczy, o

jakich nawet Szymonowi Cymbrowi się jeszcze nie śni.

Kolejne zdanie zatrzymało rękę Szymka. Wpatrywał się w nie bez ruchu, gdy po raz drugi odezwał się telefon; pobiegł,

zdażył chwycić słuchawkę, nim podniósł ją ojciec i usłyszeć to samo milczenie. Ojciec rzucił swoją, wyszedł na

korytarz.

- Czemu podnosisz, czy spodziewasz się, że akurat ktoś do ciebie zatelefonuje? - krzyknął, gdy Szymek wrócił na

schody.

Jakaś myśl przemknęła przez głowę ojca: nagle skurczył się, zwiesił ręce, zapatrzył się w wejściowe drzwi, zza których wpadało już słabnące, popołudniowe światło.

- Nie podnoś, Szymek, telefoniczne sprawy są dla ludzi dorosłych - powiedział markotnie i wrócił do zakładu, skąd dolatywał warkot maszyn do szycia.

Gdy tak Szymon Cymber zastanawiał się nad poważnymi sprawami, jakiś smutek pojawił się w jego sercu. To było dziwne, przecież znajdował się w świecie, jaki kiedyś sobie wymyślał, wszystko to się stało, a jednak było w tym

wszystkim coś smutnego. Nie wiedział co. Ludzie wysiadali z kolejnego powracającego składu, witali się, radowali,

pokazywali zdjęcia, byli podnieceni i zachwyceni, inni wsiadali do tego udającego się o szóstej na Księżyc, byli nie

mniej radośni, a jedynym smutnym człowiekiem - tak się zdawało - był tylko on. Dlaczego? Coś mu podpowiedziało,

że musi opuścić wspaniałe miejsce i gdzieś się udać. Ale dokąd? pytał sam siebie. Nie, nie tęsknił za żadną

dziewczyną, chociaż w życiu miał wiele romansów, kochały się w nim przecież najpiękniejsze kobiety, dziewczyny i

starsze panie, każda chciała dla niego porzucić męża, rodzinę albo oddać mu wszystko, żeby tylko został jej mężem.

Szymon wiedział, że taka sytuacja ludzi w końcu tylko unieszczęśliwia. Poza tym jego praca nie pozwalała na założenie rodziny.

Wyszedł więc z Dworca Kosmicznego, lepiej powiedzieć, wyjechał na swoim fotelu i teraz nie wiedział co dalej. Czuł

tylko okropny smutek, jakby ktoś coś wyrwał mu z serca albo i jeszcze gorzej. Dlaczego? Po raz pierwszy od wielu lat

nie przywołał swojego wehikułu, ale szedł pieszo, oddalając się od gwaru. Jakoż wkrótce doszedł do pierwszego

odcinka ulicy Żłotej, minął Emilii Plater z jej wielkimi gmachami tętniącymi życiem. To, co przecież było wspaniałe,

teraz Cymbrowi wydawało się jakieś dziwne. Nie to, że się nie cieszył, że zwątpił w swoją pracę i odkrycia, ale było

coś jeszcze. Co to było? zastanawiał się i szedł coraz dalej, aż do ulicy Żelaznej. Tutaj pozostało kilka domów sprzed

kilkudziesięciu lat. Jakie to było niezwykle, po tych wszystkich osiągnięciach znaleźć się w miejscu prawie

niezmienionym. Zapyta ktoś, dlaczego niezmienionym? Tak, Szymon Cymber był wielkim człowiekiem, liczone się z

jego zdaniem i dlatego, gdy kiedyś powiedział, żeby coś z dawnej Warszawy zostawić, zrobiono tak, że ocalono trochę

kamienic i ulic, na których mieszkał będąc dzieckiem. Tutaj niewiele się zmieniło, ale było pusto, ponieważ nikt nie

chciał mieszkać w takich warunkach. Zostały prawie puste domy, jak dekoracje, nic więcej. To sprawiało jeszcze

smutniejsze wrażenie niż gdyby domy zniszczono. Serce Cymbra pękało, gdy doszedł do swojego niegdysiejszego

domu. Zatrzymał się, ujrzał zachowany szyld zakładu ojca ADAM CYMBER - KRAWIEC. Wszedł do środka. Nikogo nie było, ale pozostało wszystko jak kiedyś. Oczywiście, ponieważ ojciec zmarł w roku 1967, maszyny do szycia były nowocześniejsze, inne manekiny i oświetlenie, ale poza tym - tak samo. Żurnale z roku 1965, 66 i 67 leżały zakurzone na ladzie, na ścianie wisiały dyplomy i fotografie, krzesła były miękkie i wygodne, ale nawet ta stara palma wciąż stała na swoim miejscu.

Szymon wszedł na korytarzyk wiodący do mieszkania. Dwa lata przed śmiercią ojca odmalowano wszystko, podłogi, okna, ściany, ale wydawało się, że jest tak jak sześćdziesiąt lat temu. W mieszkaniu, wyposażonym w meble z lat sześćdziesiątych, było podobnie. Ten sam obraz z wilkiem na śniegu, ten sam kredens z fotografiami, książki na etażerze, a nawet - zdawało się - wyczuł Cymber zapach perfum swojej matki. To przepełniło miarę. Poczul taką tęsknotę, że wszystko przestało się liczyć. Zrozumiał, że i tunel kosmiczny, i wszystkie inne rzeczy robił przecież dla kogoś, dla ludzi, których nie uratował przed zniknięciem. Przed jego oczami stanęli wszyscy znajomi, ze szkoły, z ulic, ciotki, a nawet ludzie, których nie lubił. Każdego z nich przygarnąłby teraz jak swojego brata, zrobiłby dla niego wszystko, tak bardzo tęsknił. Wszystkim bliskim, nawet najbliższym wybaczyłby wszystko, nie było rzeczy, jakiej by nie wybaczył, żeby tylko pojawili się znowu. Matka Szymona zmarła w osiemdziesiątym drugim roku.

Odsunął ołówek i patrzył na ostatnie zdanie. Maszyny turkotały, ojciec jak zawsze, gdy sprawy przybierały lepszy obrót, bez przerwy wyjaśniał coś swoim pracownikom, resztką marnego światła wpadała przez okienko. Słowa na stronicy zanikały wraz z nadciągającym mrokiem. Chłopiec wstał, przeszedł na parapet, jeszcze raz przeczytał ostatnie zdanie, postawił kropkę i pisał dalej:

Od dwudziestu kilku lat żyła z innym mężczyzną, urodziła mu dwoje dzieci, przyrodniego brata i siostrę Szymona.

Kiedyś zastanawiał się nad jej winą, miał pretensję, myślał, że jej nie wybaczy, ale teraz, po latach, wiele zrozumiał i chciałby jej powiedzieć, że nie ma żalu. Była młodsza od ojca, piękna, niejeden mężczyzna tracił dla niej głowę, a czy to czyjaś wina, że otrzymał najwspanialszą postać, podobającą się innym? To tylko trudność, większe wystawienie na pokusę. Dlaczego ludzie, zobaczywszy osobę piękną, chcą ją mieć dla siebie, całować, dotykać, zazdroszczą, gdy ona spotyka się z kimś innym? Dlaczego mężczyźni pragną ją rozbierać, przytulać, z nią współżyć? Obwiódł te zdania ramką.

Matka Szymona na początku kochała swojego pierwszego męża Adama. On wtedy też był inny, nie taki gderliwy i

niezaradny, chociaż pracowity. Jednak po czasie się zmienił, chodził w kapciach, nie mył włosów, niekiedy czuć było od niego zapach starego potu. Gdy poznała swojego drugiego męża, miała wrażenie, że właśnie to jest człowiek jej przeznaczony od Boga. Dlatego potajemnie chodziła do niego, ale przez jakiś czas nie chciała porzucać pierwszego męża. Jednak potem jej kochanek nie mógł już tego znieść: kochał ją przecież, szalał, chciał popełnić samobójstwo, gdyby miała z nim nie zamieszkać. On też był nieszczęsnym człowiekiem, który ją szczerze kochał i nie mógł z tą miłością sobie poradzić. Był bogaty, elegancki, miał samochód, kilka sklepów, kilka mieszkań, był jeszcze młody, ale to wszystko mógłby w jednej chwili zostawić, gdyby Estera postawiła taki warunek. Czy mieli wyjście? zastanawiał się Szymon, chodząc po pustym mieszkaniu. Nie, powiedział do siebie, przecież jest już sposób na to, żeby wszystko odmienić. Przywołał świetlnym sygnałem swój wehikuł. Jak najszybciej udał się do podziemnego, tajnego laboratorium, gdzie było wszystko potrzebne, żeby zrobić, co pragnął. Przez siedem dni nie wychodził, nie jadł, przeprowadzał eksperymenty, dobierał kosmiczne pierwiastki, aż wreszcie uznał, że się udało. Złapał ćmę, rozgniół, zwęglił, zostawił tylko odrobinę, małą cząstkę popiołu, dodał proszku z mieszaniny kosmicznego złota i drugich pierwiastków, wsunął do wskrzeszacza i włączył przycisk. Po dwudziestu sekundach wewnątrz urządzenia poruszyła się ćma - taka, jaką zniszczył. Troszeczkę, niewiele się różniła, nie mogła wlecieć przez dwie kolejne minuty, ale udało się i oto pierwsze wskrzeszone stworzenie latało wokół głowy Szymona, aż musiał się opędzać. Teraz wystarczyło tylko przywołać kilku sztucznych ludzi. Pod nadzorem Szymona wykonali oni wskrzeszacz odpowiedniej wielkości, pojedyncze, potem podwójne, a na koniec i takie, w których można było naraz odtworzyć i dziesięć postaci. Telefon dzwonił i dzwonił, a Szymek tym razem nie odbierał. Siedząc na parapecie, w końcu korytarza usłyszał brzęk połączenia, dobiegły strzępy słów ojca, trwało to kilka chwil; ojciec odłożył słuchawkę. Pojawił się na dole, przeszedł do drzwi wyjściowych, wyjrzał przez zmatowiałą szybkę, wrócił, rozglądał się, szukając syna na schodach, ale go nie dostrzegł i wrócił do pracowni, gdzie maszyny terkotały bez chwili przerwy. Szymon Cymber wiedział, że musi zrobić coś, co było zakazane i przez prawo, i przez religię. Lecz czy ktoś może powiedzieć, że miał inne wyjście? Pojechał na cmentarz, gdzie spoczywali jego rodzice oraz wielu innych członków rodziny czy po prostu wielu mieszkańców dawnej Warszawy. Nałożył mykę i wszedł. Odnalazł ich maceby. Pomodlił się i postanowił wykonać to, co było takie trudne, poniekąd zabronione. Oczywiście było, że sam tego zrobić nie mógł, więc nakazał sztucznym ludziom i oni wzięli się za ekshumację.



Ołówek Szymka sam zatrzymał się na ostatniej kropce, jakby go chwyciła. Wszystko zamarło, poza maszynami do szycia i ciągłym pouczaniem ojca. Szymon Cymber nie potrafił patrzeć na rozgrzebywane groby rodziców, odszedł i wędrował po cmentarzu odnajdując maceby innych znajomych mu ludzi. O wielu już zdążył zapomnieć, sam się dziwił o jak wielu. Poczul potworny smutek, pomieszany z radością, że jednak oni nie byli tylko snem, ale kiedyś żyli, więc mógł to jeszcze odmienić. Poleciał więc sztucznym pracownikom wziąć prochy wielu ludzi; niekiedy nie wiedział nic o nich, ale przecież w życiu tak jest, że człowiek spotyka nie tylko ludzi znajomych. Na początek niech będzie pięćset osób, postanowił Szymon, a sztuczni pracownicy sumiennie wykonywali jego zadanie. Nie wydobywali prochów w całości, wystarczyła przecież odrobina tylko, a resztę zakopywali tak, że w jednej chwili nie było śladu po ekshumacji. Dostarczono prochy do laboratorium, umieszczono we wskrzeszaczach. To były chwile zbyt niepewne, żeby nawet ktoś tak silny jak Cymber mógł je wytrzymać. Udał się więc do swojego tajnego mieszkania, zleciwszy wszystko dokładnie sztucznym pracownikom. Oni robili swoje, a on zastanawiał się, czy dobrze postąpił. Tak, rozumiał na koniec, jeżeli coś jest możliwe, a nikomu nie szkodzi, pochodzi od Boga. Z drugiej strony, jeżeli zmarli rzeczywiście są tam, w niebie, czy nie ma w tym wszystkim jakiegoś nieporozumienia? Mógłby się udać do rabina, żeby porozmawiać, ale czy miał prawo obciążać kogoś swoim postępowaniem? Nie, ten problem musiał wyjaśnić sam. **ZWŁASZCZA** - ręka sama, automatycznie, napisała to zdanie wielkimi literami - **ŻE PRZECIEŻ JEŻELI COŚ DOKŁADNIE POKRYWA SIĘ Z CZYMŚ INNYM, STAJE SIĘ JEDNOŚCIĄ.** Dwie identyczne fotografie nie przedstawiają dwóch ludzi, gdy się je przyłoży do siebie, nikt nie powie, że oto są dwa osobne przedmioty. Identycznie dzieje się z wszystkim, nawet z sytuacjami, z wydarzeniami, z wszystkim! Szymek kilka razy podkreślił te słowa. Więc Szymon to tak dokładnie zrozumiał, że przestał mieć wątpliwości, zwłaszcza że zawiadomiono go z laboratorium, że wszystko przebiegło, jak trzeba. Poleciał, żeby wskrzeszeńcy pobyli jeszcze kilka dni w zamkniętych pomieszczeniach, aby przyzwyczaili się do tego, że znowu żyją. To nie było do końca potrzebne, gdyż i tak mieli wrócić tam, gdzie niegdyś żyli, pośród ludzi, gdzie istnieli. No, ale na wszelki wypadek lepiej było się zabezpieczyć. Więc Szymon Cymber poczekał, a tego dnia, kiedy postanowił zobaczyć swoje dzieło, wstał bardzo zdenerwowany. Można sobie wyobrazić jego sytuację! Nikt nigdy nie przeżył nic podobnego! Ubrał się, wsiadł do swojego wehikułu, ale zamienił jego kształt na taki, żeby za bardzo nie zdziwić rodziców, na rocznik samochodu 67. Pojechał. Dzisiaj nie

interesowało go to, co dzieje się przy tunelu. Minął Marszałkowską, wjechał w Złotą i gdy już-już był przy Żelaznej, zobaczył pana Macha. Ten człowiek, zmarły dwa lata przed ojcem, siedł ze swoją laseczką i jak zwykle liczył ludzi.

Taki miał zwyczaj, wychodził do sklepu i potem mówił żonie: byłem dzisiaj daleko, minęło mnie stu ludzi, albo: idź tam, to blisko, miniesz dwóch, trzech ludzi i już jesteś na miejscu. Szymon zwolnił, pan Mach skrupulatnie odliczył i jego.

- Dzień dobry, który dzisiaj jestem? - zapytał Szymon.

- Jesteś pan trzydziesty trzeci - odpowiedział starzec, lecz najwyraźniej nie poznał Szymka. Cymber pojechał dalej. Sklepy, bramy, ulice, które dwa tygodnie temu zwiedzał jako puste, dzisiaj były pełne ruchu.

Jakie to dziwne, że ci ludzie wykonywali wszystko tak, jakby nie zauważali obecności tunelu, jak wiele lat temu. Na

rogu Siennej w oknie tkwiła Wanda Blum - ta sama ładna dziewczynka. Nie poznała Szymka.

Czyżby stał się dla nich

niewidoczny? Wszystkie postaci już były, no, może nie wszystkie, ale te ważniejsze, które pamiętał - i których prochy

poleciał wziąć sztucznym pracownikom - a zachowywały się jak dawno temu.

I w końcu wjechał na ulicę Chłodną. Szyld zakładu ojca kołysał się, było już popołudnie, za oknami pracowni kręciły

się cienie! Szymon Cymber wysiadł i zajrzał. Ojciec mówił coś do Dawida, Efraim wkładał nici do maszyny... Więc

jednak! serce Szymona waliło jak silnik, wszystko się spełniło, zobaczył ich znowu. Wszedł, dzwonek przywołał ojca.

Szymon rozłożył ręce, by się przywitać, ale ojciec, nie poznawszy go, bardzo się zdziwił i nie wiedział, co powiedzieć.

Szymon zrozumiał: przecież nie był już tym chłopcem, którym był wtedy. W lustrze zobaczył siebie: silnego,

siedemdziesięcioletniego mężczyznę, po wymianie licznych części wyglądającego najwyżej na lat trzydzieści.

Jakże różnił się od małego Szymka! Żeby uspokoić ojca, przejrzał żurnale, wybrał jakiś model i powiedział, że

dobierze materiał, wtedy się zgłosi. W tej samej chwili do sklepu weszła matka w swoim zielonym płaszczku,

pachnąca, piękna, młoda i lekka. Spojrzała na przystojnego, wysokiego mężczyznę, przeszła tak, jak tylko ona

potrafiła, i już była na schodkach. Też nie poznała swojego syna. Cymber już wiedział dlaczego.

Wyszedł, zastanawiając się jak postąpić. Wkrótce zrozumiał: pojechał do swojego laboratorium, tam zgolił włosy,

obciął jak najkrócej paznokcie, wszystko to wymieszał i spopielił. Dodając miksturę dał jej tyle, żeby nie przekroczyć

miary i nie uzyskać wskrzeszenia takiego, jakim on sam był teraz. Wsunął preparat do wskrzeszacza. Teraz już mógł

przyglądać się spokojnie, jak wewnątrz pojawia się coś na kształt ludzki. Najpierw jak różowa galaretką, w środku z

ciemniejszymi liniami krwiobiegu, a potem z tej galarety coraz wyraźniej kształtował się człowiek. Trwało to tyle, że

Szymon Cymber przysnął. Miał dziwny sen, w którym widział tak dokładnie każde zdarzenie, jakby sam był jakąś kamerą filmującą wszystko, ale nie tylko z zewnątrz, lecz i wewnątrz, w ludzkich myślach: widział, co każdy o czymkolwiek sądzi i widział wielu ludzi nieszczęśliwych, którym zdaje się, i że czeka już ich tylko śmierć, że aż się przestraszył. Jak to możliwe, żeby żyć po to tylko, by się martwić swoim życiem, tym, że się czegoś nie osiągnęło, nie stało się tym, kim chciało się zostać? Dlaczego na świecie jest aż tyle tego wielkiego nieszczęścia, a wszyscy kręcą się jak w maszynie zrobionej przez kogoś, kto nie znał się na swojej pracy? Przecież stworzył to Bóg, siła i dobroć największa, więc co się tu porobiło? myślał Cymber, zastanawiając się nad losem swoich rodziców, nad losem wszystkich kalek, garbatych, ludzi tak biednych, że jedli obierki. Choćby, pomyślał w pewnej chwili, tacy artyści. Wydaje się, że nie może być nic lepszego jak mieć talent, opisywać czy malować zdarzenia, których nie było, stwarzać ludzi, miejsca, najdziwniejsze sytuacje, czy może być coś piękniejszego? A jednak są nieszczęśliwi, smutni, ponurzy, mówią dziwacznie, za czymś gonią, mają w życiu wydarzenia, którym brakuje sensu, niejeden popełnia samobójstwo, upija się lub też przestał tworzyć, ponieważ uznał, że nic nie ma sensu. Dlaczego? zastanawiał się Szymon Cymber i wtedy przed jego oczami stanęła zapomniana twarz, jakby odnalazł na makulaturze czyjąś fotografię i próbował zgadnąć, kim jest ten człowiek. Lecz Szymon przypomniał sobie artystę, którego poznał kiedyś, gdy wydarzyła się dziwna sprawa z zamówionym przez niego garniturem w zakładzie ojca. Tym człowiekiem był nieżyjący już pan Witkiewicz, wielki, ale nie dla wszystkich zrozumiały artysta. Szymek sam nie przeczytał jego żadnej książki. W tej chwili pomyślał, że może to najgorsza rzecz, jaką zrobił, największy błąd? Przecież ktoś taki jak pan Witkiewicz wkładał we wszystko, co pisał, swoją wiedzę, mądrość, doświadczenie i to wszystko miałoby przepaść; nikt już nie starał się zrozumieć, o czym on myślał? Szymon Cymber pojął swój błąd i postanowił, że przeczyta wszystkie książki pana Witkiewicza. Lecz najpierw zdecydował co innego: postanowił pana Witkiewicza wskrzesić. I wtedy się obudził. To był najlepszy sen, jaki miałem, stwierdził. Tylko gdzie znaleźć popioły pana Witkiewicza? rozmyślał. W roku 1939 artysta wyglądał mizernie, schudł, zdawało się, że nie pożyje długo, chociaż na pewno nie był tak stary jak sądzono. Czy umarł wkrótce potem? To było możliwe. Z drugiej strony, czemu Szymek nie przeczytał w żadnej gazecie nekrologu, czemu o śmierci pana Witkiewicza nie powiedział nic ojciec, interesujący się różnymi sprawami, a losem swoich znaczniejszych klientów już na pewno. Przecież mówił o śmierci pana Zelwerowicza w 1943, Słonimskiego

trzy lata później, o marszałku Rydzu- Śmigłym zmarłym w roku 1954, wspominał Ordonównę, która poniosła śmierć razem z Dymszą w katastrofie lotniczej w roku 1958. Sam Szymek był z ojcem na pogrzebie doktora Korczaka, na który w 1964 roku przybyły tysiące wychowanków z całego świata. Inne pogrzeby, znanych aktorów, muzyków, polityków, królów, ojciec zawsze omawiał, a o panu Witkiewiczu nie wspominał ni słowem? Może, zastanawiał się Szymon Cymber, pan Witkiewicz przepadł w górach, poszedł i nie wrócił; może zginął na takim odludziu, że nikt o tym nie wiedział? Może udał się w oceaniczną podróż, a statek zatonął, pociągając go na dno? Może zamordowano go i roztopiono w kwasie? Albo zazdrosny szaleniec zamurował go w kamiennej ścianie zamczyska? Wszystko było możliwe, ale przecież Szymon wiedział już, że nie ma wyjścia, musi go odnaleźć. Ale w jaki sposób?

Dzwonek telefonu wdarł się w mrok korytarza. Szymek siedział na parapecie, ojciec nie odbierał, telefon dzwonił i dzwonił. Chłopiec wszedł do mieszkania, patrzył na czarny, natrętny kształt; nie podniósł. Zapalił lampkę na etażerze, usiadł w fotelu.

Cymber zamówił w archiwum prasowym wszystkie wiadomości o panu Witkiewiczu. Było ich wiele, ale żadna nie mówiła o śmierci czy pogrzebie wielkiego artysty. Specjalna przeglądarka, czytająca naraz kilkadziesiąt czasopism, wertowała strony wychwytyjąc cokolwiek, co dotyczyło pana Witkiewicza; i nic. Czy to możliwe, żeby ten człowiek żył jeszcze? zastanawiał się Cymber. Musiałby mieć dzisiaj sto dwadzieścia albo i więcej lat. Sprawdził więc Szymon wszystkie katalogi o ludziach, którzy poddani byli wymianie części cielesnych; i znowu nic, ani słowa o panu Witkiewiczu, a przecież notowano wszystko, na temat każdego, żeby potem nikt nie miał pretensji o błąd, czy że wstawiono część gorszej kategorii. Niestety, pana Witkiewicza ani śladu. Jakie są inne możliwości? zastanawiał się nasz bohater. Pozostawała jedna: naprawdę zginął, ciało zapomniane zostało w jakimś niedostępnym miejscu. I to okazało się prawdą.

- Szymek, czy ty odebrałeś ten telefon? - zapytał ojciec wchodząc do mieszkania. - No, przebudź się, pytam, czy odebrałeś ostatni telefon?

- Nie.

- I licha wie, kto dzwonił! Nie mam do ciebie pretensji, sam powiedziałem, nie odbierać... Coś ty taki, co to za twarz?

Oczy jak po wódce. Ty piłeś alkohol? Ta pisanina ciebie wykończy, oczu szkoda, palców i samego rozumu też szkoda na banialuki!

Ojciec rozglądał się po mieszkaniu, jakby znalazł się w nim po raz pierwszy, najwyżej drugi w życiu.

- A jeżeli to dzwonił pan Witkiewicz? - zapytał retorycznie. - Jeżeli to on? Tak, wiem, moja wina, sam powiedziałem: nie odbieraj, no i sam też nie odebrałem. Na kilka minut człowiek zapomniał o panu Witkiewiczu, myślał o innych sprawach i już...

Ojciec wyszedł, jego nogi ostrożnie zsuwały się po ciemnych schodach, trzasnęły drzwi zakładu.

Powiadomiono Szymona, że ostatnio widziano pana Witkiewicza, jak wychodził malować obraz w górach. To miał być jakiś piękny widok: wziął farby, płótno, poszedł i nie wrócił. Pewna piękna pani, z którą wtedy mieszkał, pomyślała, że po prostu ją porzucił. Wielcy artyści są tacy zmienni, raz podoba im się to, raz co innego. Chcąc uprawiać swój zawód, muszą być gotowi na wszystko - tak myślała ta kobieta i nie przypuszczała nawet, co się stało.

Dopiero jeden z gołębi Szymona Cymbra, wysłany w góry, a nastawiony na poszukiwanie zapachu terpentyny i farb, znalazł w skale wąską, niezbadaną szczelinę. Dotarł do niej, wleciał do środka i przeszukał. A szczelina ciągnęła się i ciągnęła, aż doprowadziła gołębia na samo dno, gdzie znajdowało się podwodne jezioro, wielkie, gładkie i czyste. Reflektory ze skrytki w gołębiu rozjaśniły wnętrze i Szymon Cymber je zobaczył: było przepiękne. Wydawało się, że natura chciała tym miejscem konkurować ze wspaniałością księżycowego tunelu i nie wiadomo kto w tej rywalizacji zwyciężył. Na brzegu cudownego jeziora ktoś siedział. Gołąb zbliżył się i na filmie z tej wyprawy, widzianym przez Szymona, ukazała się postać artysty. Pan Witkiewicz siedział jak żywy, naprzeciw swojego obrazu. Jeżeli już krajobraz podziemny był wspaniały, co dopiero powiedzieć o tym obrazie! Talent artysty dodał od siebie jeszcze więcej piękna.

Obraz był chyba piękniejszy i od tunelu, i od podziemnego krajobrazu. Niestety, sam artysta już nie żył. Umarł tam z zimna i z głodu, a może po prostu nie chciał opuścić najwspanialszego miejsca, jakie znalazł na całym świecie? Może po zobaczeniu czegoś takiego wielki artysta nie jest w stanie żyć dalej, ponieważ wszystkie jego życzenia się spełniły?

Dobrze, zastanawiał się Cymber, lecz w jaki sposób mógł pan Witkiewicz zobaczyć ten krajobraz, jeżeli panowała tam ciemność? Nie znaleziono przy nim latarni, świec, lucywa, niczego podobnego. Więc jak to możliwe? Gdyby światło gołębia nie rozjaśniło jaskini, jej piękno pozostałoby nieodkryte. W takim razie, może wielcy artyści posiadają jakies tajone przez nich możliwości widzenia? Może dlatego ludzie nie mogą ich niekiedy zrozumieć, a oni sami malują dziwnie, ponieważ to, co malują, im wcale nie wydaje się dziwaczne? Co widzą artyści? napisał Szymek i obwiał pytanie ramką.

Wysłany gołąb wydłubał kawałeczki martwego ciała artysty, włosów, coś tam jeszcze i przyniósł do laboratorium

Szymona. Teraz wszystko już było proste. Zmęczony Cymber udał się na spoczynek, polecając wszystko dokończyć swoim sztucznym pracownikom. Minęło kilka terminowych dni. Szymon udał się znowu na ulicę Chłodną, do domu odtworzonych rodziców. Tam nic się nie zmieniło. Wszyscy zajęci byli swoimi sprawami i w najmniejszym stopniu nie interesowali się tym, że niedaleko jest kosmiczny tunel. Żyli swoim życiem z roku 1939. Po cóż ja tam idę? pomyślał Szymon. Przecież jestem dla nich obcym człowiekiem i gdy będę z nimi, nie dowiem się, jak to jest, gdy są sami, bez nikogo obcego. Przy kimś z zewnątrz wszyscy zawsze zachowują się trochę nieprawdziwie. Więc co zrobił Szymon Cymber? Zmniejszył jednego ze swoich gołębi do wymiarów nieco większej muchy. To nadal był gołąb, lecz któż mógłby to zauważyć, kiedy miał tę wielkość? Nikomu by nawet nie przyszło do głowy, że coś jest nie tak. I wysłał owego posłańca z kamerą do swojego rodzinnego domu, a sam pojechał nad Wisłę, usiadł na łące i czekał. Po dwóch godzinach coś metalicznie zabrzączało w pobliżu i Szymon poznał swojego gołębia. Przywołał go i pojechali do domu, gdzie wywołano film. Z wielkim niepokojem czekał więc Szymon na to, co sfilmował jego posłaniec. Siedział w pokoju projekcji, włączył wszystkie projektory, a one czekały tylko na kliszę. I po krótkim czasie to się stało. Na cylindrycznych ekranach pojawiły się obrazy tak naturalne, dokładne, że i sam, będąc tam, nie zobaczyłby niczego lepiej.

5.

Gołąb-mucha wleciał szparką do zakładu ojca. W salonie od frontu nikogo nie było, tylko zza uchylonych drzwi wypadało trochę światła. Warkotały maszyny do szycia, kręcili się pracownicy i gadający bez przerwy, ale czymś zmartwiony ojciec. Od czasu do czasu spoglądał na telefon i zaraz potem na zegar, by znowu poganiać szyjących pracowników. Grzało się żelazko, ojciec szykował papier, w jaki zwykle pakował gotową garderobę. Widać było, że praca się kończy, czas ponagla, ale wszystko będzie dobrze i termin zostanie dotrzymany. Gołąb wcisnął się w dziurkę od klucza i wleciał do korytarza z wąskimi schodkami prowadzącymi na piętro, gdzie znajdowało się mieszkanie Cymbrów. Drzwi na piętrze były uchylone, świeciła lampka na etażerze, gdzie stały książki, jakie Szymon zapamiętał z dzieciństwa; wszystko było identycznie, nawet abażur z wielbładami idącymi na tle piramid. Gołąb-mucha wleciał do mieszkania i w tym momencie Szymon Cymber poczuł, że nie jest w stanie niczego zrozumieć: w fotelu, pisząc coś w zeszytach, siedział chłopiec, identyczny Szymek, jakim był on sam w 1939 roku! Gołąb kręcił się wokół Szymka pokazując jego oczy, jasne włosy, jego usta, z których wychylał się język, gdy chłopiec

pisał. Szymek dziwnie trzymał swój ołówek, nie tak jak nauczają w szkole, ale wszystkimi pięcioma palcami naraz.  
Pisał równo, ale czasem tak niewyraźnie, że tylko on sam mógł zrozumieć, co napisał. Więc najskrytsze marzenia Szymona Cymbra spełniły się i świat, którego już być nie powinno, jednak ożył! To było najpiękniejsze, najradośniejsze przeżycie jego całego życia. Chłopiec kilka razy poruszył się, machnął ręką, chcąc odpędzić tę latającą blisko muchę, bo przecież nie wiedział, że jest to gołąb z dwutysięcznego roku. Chociaż nie, przestał ganiać, popatrzył na nią, gdy usiadła na firanie, wydawała mu się dziwna, większa, błyszcząca, coś malutkiego błyszczało z jej lewego boku. Zaczął się domyślać i uśmiechnął się do siebie. Tak, już wtedy rozumiał dużo, dużo więcej niż można było zrozumieć. Mucha nie zaprzętała już jego uwagi; szybko pisał dalej, niekiedy przerywał i sprawdzał, co przed chwilą zanotował, zastanawiał się, czasem skreślał lub dopisywał myśli, które zamierzał poruszyć za jakiś czas. I co było takie dziwne: już wtedy coraz dokładniej wiedział, kim będzie. Wiedział, a jednak nie mógł swojej wiedzy do końca zrozumieć. W każdym razie nie pędzał już warczącej muchy. Na dole drzwi pracowni otworzyły się po raz kolejny, ale szerzej, szybciej, radośniej. Szymek usłyszał stąpanie Efraima, szybkie kroki Dawida. Żegnali się z ojcem do jutra, biegli jak najszybciej do swoich spraw. Po nich wyszedł ojciec, zawołał Szymka. Na wielkim stole czekała papierowa paczka z garniturem pana Witkiewicza. Ojciec dał chłopcu pieniądze na dorożkę, żeby jak najszybciej zdążył do kawiarni Ziemiańskiej. Dał też rachunek dla pana Witkiewicza, wytłumaczył, co można było wytłumaczyć, polecił schować synowi zapłatę do wewnętrznej kieszeni wszytej pod paskiem spodni, sprawdził raz jeszcze pakunek.  
- A jak by pan Witkiewicz nie miał pieniędzy - powiedział na koniec, otrzepując szczoteczką plecy syna i odganiając kręcącą się muchę - powiedz mu, niech prześle, czy innym razem... zresztą, jak tam uważa! Tylko ty nie wracaj przez Ogród Saski, nie tamtędy. Tam kręcą się ci z Nary. Pamiętaj, tylko nie Ogrodem! No, leć, leć, chłopcze, do niego!  
Szymek wsunął zeszyt za pasek i wyszedł drzwiami prosto na ulicę. Nie było tak ciemno, jak wydawało się z okien mieszkania. Wręcz przeciwnie, wiosna wydłużała swoje dni, latarni jeszcze nie palono, jakby czas lekko się cofnął, zostawiając wszystkiemu więcej pola. Szymek wskoczył do dorożki, woźnica od razu ruszył.  
- Jak do Ziemiańskiej na Kredytową, to do Ziemiańskiej - powiedział, wsunął papierosa do ust i milczał aż do końca trasy.  
Koń był wypoczęty, przyśpieszał tak, że woźnica musiał go wstrzymywać. Plac Grzybowski pojawił się jak kawałek snu, zawałony dorożkami i samochodami, zdawało się, nie miał końca. Przy Marszałkowskiej ruch był jeszcze gęstszy,

ale tutaj stał policjant i nie dopuszczał do zatorów. W Parku Saskim, pod drzewami świeciły już lampy, upodabniając ludzi do pni drzew, mieszając i dając wszystkiemu długie cienie. Wiosnę czuło się w każdym zapachu, a szczeliny między gałązkami na dobre wypełniły się liśćmi. Taksówki wyprzedzały dorożkę, dorożka wyprzedzała pieszych i tak trwało aż do ulicy Kredytowej. Dorożka stanęła, woźnica odwrócił się, wziął zapłatę i Szymek wyskoczył na chodnik. Kiedyś kilka razy przechodził w pobliżu tego miejsca, ale nigdy nie pomyślał, że będzie tu miał coś do załatwienia. Samochody zatrzymywały się przy chodniku, wysiadali z nich ludzie, wchodzili, drzwi wachlowały zapachem papierosów i perfum, a także innymi, których nie znał. Za wielkimi szybami przy stoikach siedzieli ludzie. Nie było tam nikogo takiego jak Szymek. Wszedł, podszedł do szatniarza, a ten podawszy płaszcz jakiejś pani spojrzał na chłopca. Niestety, niczego nie wiedział o panu Witkiewiczu. Inny mężczyzna, który wyszedł z sali, popatrzył na Szymka niechętnie; też nie znał pana Witkiewicza.

- To jest kawiarnia Wielka Ziemiańska, a stara kawiarnia Ziemiańska jest na Mazowieckiej, za rogiem, zobacz tam -

poradził uprzejmie szatniarz i Szymek poszedł we wskazanym kierunku. Wszedł na ulicę Mazowiecką i zobaczył drzwi, przed którymi zatrzymywały się samochody, wysiadali ludzie, skąd wychodziły elegantki. W tym lokalu szatni pilnował potężny, gruby człowiek o wielkich dłoniach. Nie był grzeczny dla Szymka, mrucał pod nosem, machnął ręką na muchę kręcącą się wokół głowy. To wydało się Szymkowi bardzo śmieszne, a uśmiech na twarzy chłopca nie spodobał się szatniarzowi. Chciał coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili z lokalu ktoś wyszedł, podszedł do Szymka, położył dłoń na jego ramieniu. To był pan Witkiewicz, w szarej marynarce i w pulowerze. Nie rozpakowując paczki podał ją szatniarzowi, ten schował pakunek pod ladę, a artysta wprowadził Szymka do wnętrza. Poszli do stolika, gdzie stała niedopita herbata, obok niej dwa kieliszki wina, naprzeciw dwa takie same, ale puste. W popielniczce wałało się kilkanaście niedopałków. Szymek został posadzony naprzeciw, podskoczył kelner, pan Witkiewicz coś zamówił i patrzył swoimi wyostrzonymi oczami na Szymka. Wtedy chłopiec podsunął mu rachunek za garnitur; mężczyzna spojrzał jak ktoś, komu przypomniano o dawno zwietrzałej sprawie. Opróżnił jeden kieliszek wina.

- Nie zadzwoniłem, nie przyszedłem, dostałem towar bez sprawdzenia, ale to moja i tylko moja wina - przyznał. - Garnitur bez przymiarki, ale czy ktoś sam sobie mierzy trumnę? Przepraszam ode mnie ojca, powiedz, że takiego rachunku zaakceptować nie mogę. To za mało, policzył o połowę za nisko. Nie chcę, by twojemu ojcu wydawało się, że ktoś



zasługuje na szczególne traktowanie dlatego tylko, że jest rzekomym artystą. Zapewniam cię, gdyby wiedział cokolwiek o tym, co robię, nie życzyłby sobie, bym nosił jego ubrania. Bo ja, widzisz, przekreślam logikę tę całej maskarady.

Chłopiec uśmiechnął się, Witkiewicz wypił kilka łyków z drugiego kieliszka.

- Popatrz po tej sali i powiedz, kogo tu widzisz?

Chłopiec popatrzył, powiódł wzrokiem na górę, gdzie na pięterku, w oparach dymu ginęły twarze siedzących. Nic nie powiedział.

- Widzisz pustkę, degrengoladę, marność i totalną destrukcję wszelkich ideałów. Ci ludzie tutaj pozerają siebie jak odrzucony przez ewolucję gatunek, który żywi się nie tylko własnymi dziećmi, ale pożera osobniki dojrzałe, rzecz można, najdorodniejsze w swej intelektualnej potencji. Autokanibalizm przypomina trochę masturbację, ale - w

przeciwnieństwie do niej - nastawiony jest na wchłanianie, a nie wydalanie z siebie rozkoszy. Pustka, Szymonie, a nad nią wisi nawet nie jakiś symboliczny miecz, nie czai się żaden mityczny Moloch, lecz tkwi wielkie, przetrawione przez wszechświatową fizyczność gówno. Spadnie i zakryje to, co widzisz tutaj, co widzisz gdziekolwiek: tego nie będzie.

To jeszcze potrwa tylko jakiś czas. Może będzie wojna, jedna, druga - bez znaczenia; cokolwiek się stanie, każda najdrobniejsza rzecz nie ma już sensu; nawet będąc tylko potencjalną, już jest wyjałowiona, rozumiesz, co mówię?

- Nie - uśmiechnął się Szymek.

Przy najbliższym stoliku siedzieli dwaj panowie w towarzystwie dwóch szczupłych pań, tak trzymających łokcie na blacie, że ich nagie ręce przypominały pary łabędzi. Jeden z panów, zaciągając się papierosem, spoglądał na pana Witkiewicza.

- I dobrze, że nie rozumiesz, bo i moje mówienie nie jest niczym innym jak pustką - stwierdził artysta. - Słowa,

kształty, materialność rzeczywistości to jedna wielka mitomania. I te przetrzebione kukły nie podejmują elementarnego

wysiłku, żeby nadać jej sens. Oni zadowolają się tym, że sami weszli w rolę elementów, że znaleźli jakiś zaciszny

kącik, a nawet że - w stosunku do innych kukieł - posiadają prawo ich oceniania, sterowania tym, co niektórzy

nazywają myśleniem, ustalaniem jakichś skal, ferowaniem wyroków. Czy wiesz, że miernoty te posunęły się do tego, iż

wymyśliły pojęcie takie jak estetyzm! Przyjrzyj się im, zobacz: w ich pojęciu to co nas otacza, to piękno. Rozumiesz,

dziwka przyobleczona w tkaninę ułożoną w odpowiedni kształt, facet, któremu cyrulik wyciął i ułożył owłosienie w

formę, którą wcześniej inny facet wykoncypował w Paryżu czy innym Pcimiu, ci ludzie uważani są za pięknych. Co

więcej, oni sami siebie uznają za pięknych. Doszło do tego, że kał odpowiednio ukształtowany ma prawo uznać siebie

za estetyczny paradygmat. Kapłani owego porządku tkwią tam, Szymonie, na tym pięterku. Dlaczego właśnie tam? Czy nie dlatego, żeby coś symbolicznie podkreślić, pokazać, zachować przewagę? Widzisz, nawet w tej sytuacji zachodzą tu jakieś ezoteryczne związki, tworzą się puste struktury. A ja, Szymonie, ja sam upadłem tak nisko, że uznałem ich za odpowiednie i jedyne tworzywo swej sztuki. Tak, stoczyłem się do tego, że nie jestem w stanie wysublimować niczego więcej. To znaczy ni mniej ni więcej tyle, że - jak zauważyłeś kilka godzin temu - mnie już nie ma, nie było i nie będzie. Nie ma niczego poza pustą grą twarzy, kształtów i barw. Demiurg zachował na tyle rozsądku, że dał tym kukłom inne formy. Gdyby, zapędziwszy się w swym mistrzostwie, dał ludzkości twarz i kształt jeden, jak śledziom, już dawno zamarłby wszelki ruch. Tylko nierówność fizjologiczna, kształt nosa, nóg, dłoni, korpus, pośladki, usta i oczy, tylko one sprawiają, że cokolwiek jeszcze gdziekolwiek się porusza. I ci właśnie kapłani pustki, sami wskutek prokreacyjnych krzyżówek obdarowani gębami ohydnyimi, ciałami wątlými, smrodkiem z ust, oni - o ironio! - uznali siebie za jedyńych decydentów estetyki. Popatrz i wyobraź sobie, że te piękne panie, ci elegancy panowie - mówił Witkiewicz; odchyliwszy się na krześle, patrzył po sąsiednich stolikach - że znienacka dostają gęby popolite, ciała bez namiastki erotycznej wabi. Sądzisz, że siedzieliby tutaj razem, pletliby jakieś trzy po trzy, epatowali elokwencją i intelektem? Skąd! Jedne formy szukają innych form, w oparciu o kryteria narzucone przez samozwańczych acz czujnych kapłanów, rozglądają się za powłokami w miarę najbardziej zbliżonymi do owych. I to jedyny i wyłączny problem, z jakim mają do czynienia. Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku wstał, podszedł, pochylił się i powiedział cicho, ale stanowczo:

- Panie, proszę trochę ciszej, trochę mniej i bez pewnych wyrazów; czy pan zrozumiał?

- Piękny okaz - powiedział pan Witkiewicz. - Duży, silny, masywna szczeka i, prawdopodobnie, genitalia.

Mężczyzna wrócił do swojego stolika, tam trwało milczenie, oczy dwóch pań strzelały w kierunku pana Witkiewicza.

- Dobrze, Szymonie, powiedz mi, co masz za paskiem?

Szymek wyjął zeszyt i podał mężczyźnie. Ten przejrzał pobieżnie, przerzucił kartki, rozejrzał się, wyjął z wewnętrznej kieszeni etui z okularami, założył je, powiększając swoje oczy jeszcze bardziej. Zaczął czytać. Podszedł kelner, postawił przed Szymkiem szklankę z ciemnym sokiem i ciasto na talerzyku. Pan Witkiewicz przerzucił pierwszą kartkę, potem drugą, a kolejnej już nie przerzucił tak szybko. Przeczytał, spojrział na chłopca, cofnął kartki i czytał od początku.

Sok był wiśniowy, ciastko orzechowe. Mosiężna poręcz błyszczała przed ladą, za którą kręciły się dwie dziewczyny

wyjmujące ciasta i parzące kawę. Kelnerzy śmigali między stolikami, klienci wychodzili, wchodzili inni, a za oknem niebo wolno ciemniało, pozwalając żółtawym światłom przejąć władzę nad nastrojem wnętrza. Po schodkach ktoś wchodził, ktoś niekiedy schodził, chmura papierosowego dymu unosiła się pod sufit i zakrywała to, co działo się na pięterku.

Pan Witkiewicz położył zeszyt na stoliku, rozejrzał się jak zbudzony pasażer w pociągu, ni razu nie spojrzął na Szymka.

- Kosmiczny kamień - powiedział, leciutko przesunął wzrok po twarzy chłopca, dopił wino i dalej czytał, a kelner szybciućko przyniósł kolejny kieliszek.

Po kilku następnych minutach pan Witkiewicz wstał, podszedł do baru, tam coś wypił i wrócił do stolika. Teraz patrzył na Szymka uważnie, nic nie mówił, niekiedy tylko rzucał okiem na którąś ze stron zeszytu.

- Jest późno, ja już muszę pójść.

Mężczyzna, wciąż nic nie mówiąc, odliczył banknoty, podał, a Szymek schował je do wewnętrznej kieszeni, wstał, wziął zeszyt, podziękował za ciastko i wyszedł.

Ten dzień był naprawdę dziwny, powtórzyło się to samo: na ulicy czas jakby cofnął się o godzinę i znowu było jaśniej, niż wydawało się we wnętrzu. Szymek skręcił w ulicę Kredytową, mijał sklepy, przyglądał się samochodom, ale w

myślach wciąż miał pana Witkiewicza. Wydawało się to tak niezwykle: wszystko co postanowił, udało się aż do końca.

Stało się i nikt niczego nie zauważył. Szymek szedł pograżony w myślach, gdy kopyta konia zwolniły obok, a z

pojazdu odezwał się głos pana Witkiewicza.

- Wsiadaj, podwożę do domu, mam jeszcze trochę czasu!

Jechali, ale dorożkarz, zamiast wieźć ich prosto, skręcił w Marszałkowską, a stamtąd powiózł wzdłuż Parku Saskiego

przez Plac Bankowy, Tłomackie aż do Nowolipek. Dorożka skręciła. Coś dziwnego było w tej jeździe. Pan Witkiewicz

rozglądał się, ale nic nie mówił, woźnica ledwie się poruszał i to tylko wtedy, gdy koła trafiały na nierówność. Szymek

nie miał odwagi powiedzieć, że ktoś tutaj pomylił kierunek.

- Już te cholery latają - powiedział głos woźnicy, lecz zdawało się, że ten głos dobiegł z zupełnie innego miejsca. Tylko

bat zaczął śmigać nad końskim grzbietem, nie dotykając go jednak. - Końska mucha o tej porze w centrum miasta!

Żeby tak ich miliony puścić na Niemców, kiedy jeszcze raz Hitler mruknie o swoim gdańskim korytarzu! Jeżeli nie Pan

Bóg, ale przyroda wszystko układa, to wypuściwszy Hitlera powinna równocześnie dać bakterię, która go zatruje,

prawda? Bóg ma swoje plany, człowiek ich nie pojmie, przyroda wie tyle, że jedno zre drugie, coś gnije, na nim rośnie

inne, bezmyślnie, bez planów, jedno z drugiego - powiedział ten sam głos z dorożkarskiego kozła.

Pan Witkiewicz nie skomentował, wduszony w oparcie wydawał się mniejszy, szczuplejszy, a paczka na kolanach, napęczniawszy, sięgała mu do brody.

Dlaczego na Nowolipkach koń zwolnił, chociaż ruch był niewielki? Dlaczego skręcił w Smoczą i zwolnił jeszcze bardziej tak, że końskie kopyta stukwały nie gęściej niż rynna na wietrze? Dlaczego nagle pan Witkiewicz odłożył paczkę, uniósł się nieco wypatrzywszy kogoś, kto szedł w stronę bramy? Dlaczego znieacka polecił woźnicy zatrzymać konia?

- Czy widzisz, Szymonie, tego kogoś? - zapytał.

- Ktoś tam idzie - odpowiedział chłopiec.

- Widzisz, co ma na sobie? Poznajesz garnitur? Czy ta sylwetka, powiedz mi szybko, czy ta sylwetka... Czy ten garnitur to nie jest garnitur, który zamówiłem u twojego ojca? Ty wiesz, co to jest pamięć wzrokowa, więc ja go poznaję.

Identyczny, a człowiek w nim... poznajesz?

- Tak, ale to przecież... - zaczął mówić Szymek, ale nie wiedział co powiedzieć; człowiek w garniturze w ledwie

widoczne paski szedł i szedł, ale wciąż był blisko, jak gdyby jego kroki przemierzały inne miejsce, przesuujące się w innym czasie.

- Wygląda jak ja - powiedział w końcu pan Witkiewicz to, co obaj, on i Szymek, widzieli. Mężczyzna w garniturze rzeczywiście był jego wzrostu, sylwetki, nawet kroki stawiał jak on, tak samo przykładał do ust i odsuwał rękę z dymiącym papierosem.

- Proszę poczekać, ja to muszę sprawdzić - powiedział pan Witkiewicz, zeskoczył z dorożki i poszedł za mężczyzną w garniturze.

Teraz tamten zaczął odchodzić, jak trzeba, szybciej, coraz dalej, aż skręcił do bramy, przed którą zamiatał dozorca.

- I co - powiedział głos z dorożkarskiego kozła. - Masz zaufanie do tego dziwnego pana?

Różni są ludzie, którzy nie płacą za kurs. Żebyś wiedział, jakich ja ludzi woziłem, którzy nie zapłacili, sam byś się zdziwił! Wielcy, potężni, sławni, a nie płacili. A ten pan nie wygląda na kogoś wielkiego ani zamożnego, ani żadnego z nich.

- To pan Witkiewicz - powiedział Szymek.

- To tyle wyjaśnia co informacja, że mój szwagier nazywa się Ostrzycki.

Czekali, a szarość przyoblekała się w granat. Teraz już wszystko biegło, jak trzeba, czas przestał wyczyniać figle.

Smród papierosów dolatywał z kozła, robiło się chłodno, w oknach strzelały światła, a zza nich dobiegały odgłosy domowej wieczornej krzątaniny.

- Co robimy? - zapytał głos dorożkarza.

Szymek podał mu garnitur, poprosił, by z tym zabezpieczeniem poczekał, a sam wyskoczył i ruszył w kierunku bramy.

Podwórko obserwowały prostokątne oczy smutnych okien. Tylko mały pies kręcił się blisko ręcznego wózka na

żelaznych kołach. Szymek po kolei otwierał wszystkie drzwi, lecz klatki schodowe na jego nieme pytanie odpowiadały sennym milczeniem. Wszedł, przestraszył psa, który rozszczękał się, wywlekając ze stróżówki dozorcę. Ten stanął na drodze Szymka i czekał na wyjaśnienia.

- Szukam pana, który tu wszedł - powiedział chłopiec. Dla dozorczy to było za mało. Chłopiec wyjaśniał dalej. - On wszedł za drugim panem, który miał na sobie garnitur. To był garnitur w paski, cienkie popielate paski.

- Więc pytasz o pana Naubama. Ale on wejść tu nie mógł. Siedzę cały czas przy oknie i wiem, kiedy ktoś taki jak pan

Naubam wraca. Na pewno nie wchodził. Nie wchodził też nikt inny. Więc co mam sobie pomyśleć o tobie? Myślę, że

ty coś kręcisz, Icek, coś tu kombinujesz...

Już chciał dozorca chwycić Szymka, rozłożył ręce, gdy nagle zaczął nimi machać blisko twarzy, jakby w sadzie opadły

go pszczoły. Szymek wybiegł z bramy, minął śmietniki, zatrzymał się na chodniku i rozejrzał: dorożki nie było.

6.

Szymon Cymber patrzył na film przyniesiony przez gołębia. Film ciemniał, na ulice naszła już noc, chociaż tu i ówdzie

panował jeszcze ruch. Szymon patrzył na siebie małego, idącego ulicami jak we śnie.

Niekiedy gołąb-mucha

podlatywał tak blisko, że można było zajrzeć w oczy Szymka. Widać w nich było wiele różnych myśli, ale żadnej nie

dało się zrozumieć. Zastanawiał się nad panem Witkiewiczem, nad dorożkarzem, nad smakiem orzechowego ciastka, a

przede wszystkim myślał o tunelu kosmicznym. Gdyby ktoś mógł wprowadzić do jego mózgu coś mniejszego od

stalowego gołębia, odnalazłby w nim najsmutniejszą ze wszystkich myśli, że to co chciałby, żeby było, nigdy tak

naprawdę się nie stanie.

Szymon Cymber, patrząc na siebie małego, odczuwał wielki żal; przecież wiedział, że nawet gdyby stanął przed nim i

powiedział: Szymku, ty się nie martw, ja jestem tobą, żyjącym w dwutysięcznym roku, chodź ze mną, pokażę ci i

udowodnię, że wszystko o czym myślisz, stanie się naprawdę; gdyby tak powiedział, jakie prawo miał Szymek

uwierzyć temu dorosłemu, dziwnie ubranemu mężczyźnie? Żadnego! Dlatego teraz, gdy Szymon Cymber patrzył na

siebie odtworzonego, małego, smutnego, tak naprawdę nie chciał go pocieszać. Przecież pamiętał, że w roku 1939 sam

miał takie same wątpliwości i wtedy nikt nie stanął przed nim i nie powiedział: ty się nie martw, czasu się nie oszuka,

ale czas też człowieka oszukać nie może, zawsze jest taki, jaki być musi, ponieważ jest z człowiekiem spętany i od

niego zależy. Choć wszyscy mędrcy zastanawiali się nad tym problemem, ci najmądrzejsi najkrócej.

Dzwonek nad drzwiami zakładu odezwał się rachitycznie i zamarł. Ojciec nie zamknął jeszcze drzwi, na pewno czekał

na syna. Lecz na dole ojca nie było. Szymek zastał wszystko pootwierane, jak gdyby nikt nie słyszał o bandach złodziejskich panoszących się w tych niespokojnych czasach. W mieszkaniu paliło się zielone oko radia, w sypialni na łóżku nieruchomiały nagie, blade stopy matki. Resztę jej ciała okrywał pled. Szymek wycofał się; to wszystko w niczym nie przypominało zwyczajnego wieczoru. Panowała cisza i wyczekujący bezruch. Chłopiec z wewnętrznej kieszeni wyjął pieniądze, schował do szuflady i zszedł na dół, by pozamykać drzwi. W chwili gdy dotykał klucza, ktoś nacisnął kłamekę. Dawid Stoltzman przestraszył się tego spotkania nie mniej niż Szymek.

- Zapomniałem jednej rzeczy - powiedział przechodząc do pracowni, gdzie spod maszyny do szycia wyciągnął niewielką paczuszkę. Dopiero wtedy i on zorientował się, że coś tu wygląda inaczej: właściciel nie stanął na schodach, nie zapytał, kto i po co przyszedł. Chowając paczuszkę pod płaszcz młody krawiec zatrzymał się w korytarzu. - Pana Cymbra nie ma?

- Nie ma - odpowiedział Szymek.

- A mama?

- Śpi.

Dawid ruszył do wyjścia, lecz stanął raz jeszcze, cofnął się trochę.

- Szymek, czy ty już wiesz, co się stało? Nie wiesz? Moryc Naubam palnął sobie w łeb. Samobójstwo. Krew, krew i jeszcze raz krew. Niektóre sprawy na pierwszy rzut oka wydają się inne, niż są. Coś musiało stać się z twarzą Szymka, skoro Dawid przyglądał się jej tak, jakby widział płomień.

~KONIEC~

Urodziłem się w 1951 roku w Toruniu. Tam chodziłem do szkół i w 1977 roku ukończyłem studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika, otrzymując tytuł mgr sztuki, jako artysta malarz. W trakcie studiów w miesięczniku Nowy Wyraz (numer 6/ 1973) ukazał się mój debiut, "Poemat napisany nie na temat". Pisywałem wtedy krótkie literackie utwory do ulotnych (nieoficjalnych) pisemek wydawanych w różny sposób na uczelni. Nic wielkiego, bez mieszania się w sprawy polityczne, aczkolwiek od lat pięćdziesiątych wiedziałem, że krajem rządzi - jak mawiał mój dziadek - "banda złodziei". Politykę, sprawy społeczne, problemy finansowe kraju i świata zawsze uważałem za rzecz uboczną, obszar - z braku laku - polecony przez Boga tym, którym nie dał żadnego talentu. Do szuflady pisałem opowiadania z pogranicza fantastyki, groteski i horroru, krążące w maszynopisach pośród kręgu znajomych.

W 1976 roku wygrałem edycję konkursu Wiejskie pejzaże (organizowanego przez Nową Wieś i Regiony) opowiadaniem "Spodnie w pejzażu". W kolejnych latach dwukrotnie wygrałem kolejne edycje tego konkursu.

Opowiadania ukazały się w Regionach (1976), Nowej Wsi, Faktach. W 1977 roku w konkursie LSW na powieść zdobyłem drugą nagrodę. Nagrodzona powieść - Tunelem wiatru, niespokojnie - została opublikowana w 1978 roku przez LSW.

Lata osiemdziesiąte, ze swoimi zawirowaniami politycznymi, paroksyzmem komunizmu, działały destrukcyjnie na każdego. Napisałem wtedy trochę opowiadań, powiastkę dla dzieci, ale nawet do głowy nie przyszło, by je publikować.

Malowałem obrazy, sprzedawałem, i tak jakoś żyłem. Początek lat dziewięćdziesiątych także nie działał na mnie

inspirująco. Do pisania wracałem stopniowo, kończąc, porządkując opowieści pisane dla swoich dzieci, wykonując -

dla siebie i kilku najbliższych osób - komiks rysunkowy, itp.

W roku 1997 na konkurs ogłoszony przez wydawnictwo Zysk i S-ka wysłałem powieść Lusią. Powieść nagrody nie

otrzymała, ale znalazła się wśród tych kilku, które opublikowano. Ukazała się w 1998 roku.

Wydawca określił ją jako thriller psychologiczny.

W roku 1998 wziąłem udział w konkursie wydawnictwa Prószyński i S-ka na powieść fantastyczną. Zdołałem ex

aequo drugą nagrodę. Nagrodzona powieść, Domek Świeczki, ukazała się w 2000 roku. W tymże 1998 roku brałem

czynny udział w próbie wprowadzenia na rynek ekscentrycznego pisarza, Ernesta Goretoofire'a, zbiorem jego

opowiadań pt. Masy kałowe.

Niedawno, w czwartej edycji dorocznego konkursu na powieść współczesną Zyska i S-ki, moja powieść "Chmurka pod

stołem" zdobyła pierwszą nagrodę (wydawca twierdzi, że na tegoroczny konkurs nadesłano 54 powieści, z których 12

jest tak dobrych, iż rok 2000 okazał się najlepszym z dotychczasowych). (Z.D.)